

Leszek Adamczewski

ZŁOWIESZCZE GÓRY

Śladami wojennych tajemnic

WARSZAWA POZNAŃ 1992

ZNAKI ZAPYTANIA czyli zamiast wstępu

Druga wojna światowa pozostawiła na naszych ziemiach niemało materialnych śladów, które w mniejszym lub większym stopniu okryte są do dzisiaj mgłą tajemnicy. W lesie gierłoskim koło Kętrzyna na Mazurach stoją, niczym współczesne piramidy, ruiny gigantycznych bunkrów z betonu i stali. Wewnątrz malowniczych Gór Sowich w Sudetach wykuto labirynty podziemnych hal i korytarzy. Podziemnym miasteczkiem można śmiało nazwać to, co kryje się w widłach Odry i Warty między Międzyrzeczem a Świebodzinem.

Mury zagubionej gdzieś wśród Borów Tucholskich stacji kolejowej oglądały jedną z najściślej strzeżonych przez Niemców tajemnic wojskowych. O pozostałości po innej tajemnicy tak zwanej cudownej broni ocierają się turyści i wczasowicze zapuszczający się w pochmurne dni w okolice Międzyzdrojów, Gdyby drzewa i skały mogły mówić, dowiedzielibyśmy się o tym, co naprawdę w ostatnich miesiącach wojny działo się w okolicach Jeleniej Góry, Szklarskiej Poręby, Karpacza i Kamiennej Góry. Choćby o ukrywanych tam skarbach.

Zamkowe lochy i asfaltowa szosa prowadząca do nikąd. Zamulona kopalnia, górująca nad okolicą potężna twierdza i zabudowania dawnego klasztoru...

Można mnożyć miejsca, o których nie wiemy jeszcze wszystkiego. A nie-rzadko nic wiemy prawie nic. W tej książce spróbuję wyjaśnić lub tylko rozjaśnić mroki tajemnicy niektórych z tych miejsc.

Jako dziennikarz wielokrotnie miałem możliwości dotarcia tam, gdzie trudno trafić zwyczajnemu śmiertelnikowi, I nie będę ukrywać, że często z tych możliwości korzystałem. Na przykład w połowie lat siedemdziesiątych na zaproszenie dyrektora jednej z kopalń wałbrzyskich spenetrowałem fragment podziemi wałimskich w Górach Sowich. Jeszcze wcześniej znajomy ówczesnych władz powiatowych Kłodzka zafundował mi uciążliwą fizycznie i nieco chyba niebezpieczną, lecz wielce atrakcyjną wycieczkę po trudno dostępnych lochach tamtejszej twierdzy. Wkrótce potem próbowałem dostać się do podziemi pokrzyżackiego zamku w Człuchowie, gdzie ponoć Niemcy, na krótko przed zajęciem tego miasta przez czerwonoarmistów, coś ukryli.

Te i inne eskapady powodowały, że zacząłem interesować się obejrzanymi obiektami. Zrazu sięgałem po opracowania popularne, potem popularnonaukowe i publikacje prasowe, wreszcie po prace naukowe i wspomnienia, by w końcu zdobytą wiedzę uzupełnić w archiwach i podczas rozmów z ludźmi, którzy wiedzieli więcej. Albo wiedzieć powinni. Kilkakrotnie wracałem w interesujące mnie miejsca, wzdłuż i wszerz przemierzając Góry Sowie, okolice Jeleniej Góry, wielkopolskiego Międzyrzecza czy Wierzchucina w Borach Tucholskich, by wymienić tylko te miejscowości, których nazwy pojawiają się na następnych stronach.

Z tego zainteresowania różnymi tajemnicami drugiej wojny światowej powstały zamieszczane tu szkice. Stawiam w nich sporo znaków zapytania, ale

jednocześnie udzielam niemało odpowiedzi, próbując łączyć fakty, hipotezy i spostrzeżenia w logiczną całość. Czy tak było naprawdę? Tego w wielu przypadkach pewnie już nigdy się nie dowiemy, A szkoda, Tymczasem zawodowi historycy niezmiernie rzadko sięgali po tematy, które próbują przybliżyć czytelnikom. Nie mając stuprocentowej pewności oraz zaplecza naukowego w postaci wiarygodnych dokumentów archiwalnych albo unikali tych lematów, obawiając się zapewne kompromitacji, albo traktowali je marginesowo.

Winieniem czytelnikom jeszcze jedno zastrzeżenie. Chociaż materiały do tej książki zbierałem latami, a moje artykuły na pojawiające się na następnych stronach tematy ukazywały się na łamach "Głosu Wielkopolskiego" począwszy od 1983 roku, a także na łamach miesięcznika "Nurt" i tygodnika "Perspektywy", całość została przejrzana, zweryfikowana i uaktualniona do stanu z kwietnia 1992 roku. Dotyczy to zarówno nazewnictwa oraz podziału administracyjnego Polski, jak i najnowszych ustaleń. Także pojawiające się sporadycznie słowa "dziś" lub "obecnie" należy odnosić do kwietnia 1992 roku.

W KRÓLESTWIE NIETOPERZY

Wśród turystycznych atrakcji województwa gorzowskiego jest miejsce szczególne, przynajmniej od początku lat osiemdziesiątych chętnie odwiedzane nie tylko zresztą przez Polaków, Turystów przyciągają w to miejsce, w okolice wsi Kałowa, Wysoka, Boryszyn i Keszycy nie widoki krajobrazu czy malownicze jeziora, lecz zachowane w wcale dobrym stanie potężne fortyfikacje tak zwanego Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

Tę nazwę wymyślono po drugiej wojnie światowej, gdy wybudowane nakładem setek milionów marek umocnienia Ufortyfikowanego Łuku Odry - Warty okazały się na dobrą sprawę bezużyteczne. Podzieliły one los Linii Maginota, do której zresztą porównywano i porównuje się nadal umocnienia międzyrzeckie, Te dwie linie fortyfikacji terenowych nie przydały się podczas działań wojennych. Były na miarę pierwszej, lecz już nie drugiej wojny światowej,

Fortyfikacje międzyrzeckie służą dziś przede wszystkim nietoperzom, które w podziemiach utworzyły unikatowy w Europie rezerwat, prawdziwe królestwo tych latających ssaków. Służą też - jak się rzekło - turystom, zwłaszcza interesującym się dziejami budowli fortyfikacyjnych, a także amatorom przygód i poszukiwaczom sensacji. Oto dwóch z nich: Maciej Głowacki i Piotr Sateja z Poznania.

- Zwiedziliśmy już chyba cały kompleks fortyfikacji międzyrzeckich - mówi Sateja, - Wiemy już, że cała południowa część podziemi, od pętli boryszyńskiej aż po odcinek nazwany "Dora", nieco na północ od wioski Kalawa, w której pobliżu znajdują się dobrze zachowane schrony bojowe z pancernymi, jest dostępna. Można ją przebyć suchą nogą - W części północnej - dodaje Głowacki - podziemia są miejscami zalane. Woda sięga tam na ogół do kolan, ale trzeba bardzo uważać, ponieważ zalane są również głębokie na dwa, trzy metry studzienki. Niektóre z nich są ponadto częściowo zasypane, ale wpadając do takiej niewidocznej studzienki można się pokaleczyć o znajdujące się w nich części metalowe. Na naszych oczach do takiej studzienki wpadł kolega wraz z plecakiem. Szliśmy razem, woda sięgała mniej więcej do kolan. W pewnej chwili kolega len się zagapił i zniknął pod wodą. Wydobyliśmy go. Skończyło się na strachu, ale trzeba tam bardzo uważać.

*

Ze strategicznego znaczenia ziem leżących w widłach Odry i Warty, tuż nad ówczesną granicą Z Rzeczypospolitą Polską, dobrze zdawali sobie sprawę sztabowcy Reichswery - nielicznej, zawodowej armii republiki weimarskiej, która powstała w Rzeczy Niemieckiej po upadku cesarstwa i klęsce tego państwa w wojnie światowej, zwanej dzisiaj pierwszą Berlinie rozumowano, że skrajnie antypolska polityka rządu niemieckiego może sprowokować władze polskie do

niejako profilaktycznych posunięć militarnych przeciwko Rzeczy. I dlatego też już w 1925 roku gwałcąc postanowienia Traktatu Wersalskiego - zaczęło wznosić pierwsze umocnienia wojskowe o charakterze stałym na obszarze tak zwanej Bramy Brandenburskiej, nazywanej obecnie Lubuską, przez którą prowadzi najkrótsza droga z Warszawy przez Poznań do Berlina, Prace te rychło jednak przerwano w wyniku stanowczego sprzeciwu Międzysojusznictwej Komisji Kontroli, która zabroniła fortyfikowania ziem leżących na prawym brzegu Odry.

Do pomysłu sztabowców Reichswehry wrócił Adolf Hitler, gdy na początku 1933 roku objął władzę w Niemczech. Niemal natychmiast, zrazu po cichu, a wkrótce już jawnie, zaczął deptać wszelkie nałożone na Niemcy po przegranej wojnie kwiatowej ograniczenia zbrojeniowe. Tak więc już w 1934 roku wznowiono roboty budowlane w widłach Odry i Warty, fortyfikując obszar Bramy Brandenburskiej. Zamierzenia były imponujące, by nie rzec - wręcz fantastyczne. Na kilkudziesięciokilometrowym przesmyku między bagnistymi pradolinami, ograniczonym od północy Międzyrzeczem (Meseritz), a od południa Świebodzinem (Schwiebus), miała powstać "wschodnia Linia Maginota", najeżona kilku kondygnacyjnymi schronami bojowymi, wyposażonymi w stałe stanowiska broni maszynowej i artylerii różnych kalibrów, pomieszczenia mieszkalne dla załóg oraz magazyny amunicji i żywności. Na powierzchni schrony były przykryte stalowymi kopułami zwanymi pancerwerkami, z których najważniejsze połączone były z sobą systemem wybudowanych na głębokości od 16 do 50 metrów luneli podziemnych, gdzie między innymi kursowały elektryczne kolejki wąskotorowe.

Ufortyfikowany Łuk Odry - Warty tworzył trzy linie obronne. Pierwsza miała zmusić przeciwnika do powstrzymania ataku z marszu i składała się z umocnień polowych. Druga, zwana pozycją główną, winna była zatrzymać przeciwnika i składała się z fortyfikacji stałych. Gdyby jednak udało się przeciwnikowi przedrzeć przez główną linię obrony, w odwodzie znajdowała się jeszcze pozycja wspierająca, również polowa.

To, co dzisiaj interesuje miłośników budowli fortyfikacyjnych, stanowiło pozycję główną umocnień międzyrzeckich. Wykorzystywała ona jako przeszkody naturalne jeziora Pojezierza Lubuskiego, a tam, gdzie ich brakowało, rozbudowano pasy zapór inżynieryjnych oraz śluz i kanałów, które - w razie potrzeby - pozwalały na zalanie przedpola wodą z jezior. Najważniejszym ogniwem systemu obrony czynnej były wspomniane pancerwerki - różnej wielkości obiekty obronne z uzbrojeniem umieszczonym w pancernych kopułach. Przeciętny ostróg lego typu miał od jednej do trzech takich kopuł. Grubość stalowych ścian wahała się od 16 do aż 300 milimetrów. W największych kopułach znajdowały się dwa ciężkie karabiny maszynowe, które mogły prowadzić ogień przez sześć otworów strzeleckich. Najmniejsza kopuła, dzięki zamontowanemu w niej peryskopowi, spełniała funkcję obserwacyjną, a niewykluczone, że również przez niewielkie otwory w ścianach bocznych można było stosować miotacze płomieni.

Według autorów niektórych popularnych opracowań na temat Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, w 1935 roku teren budowy miał wizytować sam Hitler. Nie ma na to dowodów w materiałach źródłowych. Wiele jednak wskazuje, iż właśnie w tymże roku feldmarszałek Werner Blomberg, minister wojny w rządzie Hitlera, złożył kanclerzowi szczegółowy meldunek o tempie prac na budowie Ufortyfikowanego Łuku Odry - Warty i planach na nadchodzące miesiące. Hitler zaakceptował zamierzenia i wyraził uznanie z przebiegu robót. Do sprawy nie wracano zapewne przez trzy lata, podczas których budowa posuwała się naprzód, a raczej w dół, coraz głębiej wgryzając się w ziemię. Nie szędzono nań ani pieniędzy, ani coraz bardziej deficytowych w Rzeszy materiałów budowlanych, jak choćby cementu i stali.

Na początku 1938 roku Hitler usunął z rządu feldmarszałka Blomberga, sam obejmując stanowisko naczelnego dowódcy niemieckich sił zbrojonych. O pretekst do usunięcia człowieka, który utorował Hitlerowi drogę do władzy, postarała się podlegająca reichsfuhrerowi SS Heinrichowi Himlerowi policja. Otóż co dopiero poślubiona małżonka Blomberga figurowała w aktach policyjnych jako... prostytutka. Ale to był tylko pretekst. Wywodzący się ze starej, pruskiej kasty oficerskiej Blomberg myślał kategoriami czasów zakończonej dwadzieścia lat wcześniej wojny światowej. Hitler zaś myślał o wojnie błyskawicznej, którą planowali sztabowcy już nie Reichswehry, ale armii hitlerowskiej - Wehrmachtu.

W maju 1938 roku, w towarzystwie generała Waltera Brauchitscha - naczelnego dowódcy wojsk lądowych i generała Otto-Wilhelma Foerstera z Inspektoratu Saperów i Fortyfikacji. Hitler udał się na inspekcję umocnień międzyrzeckich. Wszystko oglądał bardzo dokładnie i - jak się wydawało - z zainteresowaniem. Ale - ku przerażeniu swojej świty - cały czas milczał. W końcu wraz z Brauchitschem i Foersterem oddalił się nieco od towarzyszących oficerów sztabowych i esesmanów z ochrony osobistej. Obecni zauważyli, że mocno zdenerwowany Hitler gestykulując coś tłumaczył obu generałom. Co? Wystarczyło rozejrzeć się, by znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Na miarę wyobrażeń Hitlera o przyszłej wojnie, fortyfikacje te wydawały mu się przestarzałe - nadziemne kopuły schronów uzbrojone zostały tylko w karabiny maszynowe. Tym nie można było zatrzymać czołgów...

Swą decyzję o przerwaniu budowy Hitler podjął już zapewne podczas zwiedzania fortyfikacji, a dosadnie sprecyzował ją w czasie burzliwej rozmowy z obu generałami. Zdając sobie sprawę z gigantycznych kosztów budowy Ufortyfikowanego Łuku Odry - Warty i z coraz bardziej rosnących w siłę lądowych, powietrznych i morskich wojsk Rzeszy Hitler wiedział również, że Polska nie ma wobec Niemiec agresywnych zamiarów. A przecież i fortyfikacje te budowano po to, by na głównym, berlińskim kierunku uderzenia powstrzymać właśnie dywizje polskie.

I mimo protestu Inspektoratu Saperów i Fortyfikacji, wszelkie inwestycje w okolicach Międzyrzecza przerwano, koncentrując się tylko na pracach wykończeniowych mocno zaawansowanych już w budowie obiektów.

A i wielu z nich nigdy zresztą nie dokończono.

Nie zrealizowano zatem zakrojonych na gigantyczną skalę zamierzeń fortyfikacyjnych. Nie zbudowano na przykład ani jednego schronu o największej odporności, nie dokończono głównej podziemnej drogi ruchu i nie wykonano czterech z pięciu planowanych wjazdów do podziemi. To jednak, co zrobiono i w znacznej części można dzisiaj spenetrować, imponuje swym groźnym rozmachem.

*

Od dojścia Hitlera do władzy budowa umocnień Ufortyfikowanego Łuku Odry - Warty otoczona była ścisłą tajemnicą wojskową. Na tyle ścisłą, że w styczniu 1936 roku, a więc w okresie najbardziej natężonych robót górniczych i budowlanych, zakazano przelotu nad tym obszarem samolotów cywilnych, również niemieckich. Dwa lata później dyplomatom wojskowym akredytowanym w III Rzeszy zakazano przebywania w powiatach, których tereny objęte były budową umocnień, zwłaszcza w ówczesnym powiecie międzyrzeckim. A przez cały okres budowy oficerowie kontrwywiadu Abwehry i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa SS dyskretnie inwigilowali mieszkańców okolicznych wiosek, osoby podejrzane wysiedlając z tego terenu,

A mimo to do Oddziału II (wywiad) Sztabu Głównego Wojska Polskiego w Warszawie docierały w miarę szczegółowe meldunki o zakresie i przeznaczeniu robót fortyfikacyjnych w okolicach Międzyrzecza. Informatorami naszego wywiadu byli zwłaszcza polscy mieszkańcy tych ziem ówczesnego niemieckiego pogranicza,

"...Wieś Kęszyca powiat międzyrzecki jest zbudowana pod ziemią. Pod ziemią jest mnóstwo amunicji i wiele innego, co potrzebne jest wojsku. Co dzień dowozi się artykuły spożywcze i sprzęt wojskowy. Nikt nie widzi kiedy wjeżdżają lokomotywy pod ziemię. Mieszkańcy wsi otrzymali inną pracę, a w ich mieszkaniach jest wiele wojska. Wieś Wysoka jest również zbudowana pod ziemią, ale głównie w lesie".

To Fragment jednego z meldunków wywiadowczych, sporządzonych przez obywateli III Rzeszy polskiego pochodzenia.

Niestety, wielu z nich za tę działalność zapłaciło życiem w latach wojny, i to z powodu wcale nie jakiejś nadzwyczajnej operatywności kontrwywiadu hitlerowskiego, lecz karygodnego wręcz niedbalstwa pracowników polskich służb specjalnych. Otóż po zajęciu Polski we wrześniu 1939 roku przez armie okupacyjne, w ręce Niemców wpadły beztrosko pozostawione materiały archiwalne naszego wywiadu przechowywane zarówno w Forcie Legionów w Warszawie, jak i w komisariacie polskiej Straży Granicznej w Wolsztynie, która to placówka zbierała meldunki z drugiej strony przebiegającej wtedy tuż obok granicy.

*

Po przerwaniu budowy umocnień międzyrzeckich w 1938 roku, w kilku następnych latach prowadzono tutaj tylko prace zrazu wykończeniowe, a potem tylko konserwacyjne. Co więcej, na przełomie lat 1941-42 część urządzeń technicznych i uzbrojenia tych fortyfikacji zdemontowano, przewożąc je do kazamatów gorączkowo wówczas rozbudowywanego Wału Atlantyckiego na wybrzeżu okupowanej Francji, Tymczasem do podziemi międzyrzeckich przeniesiono stanowiska produkcyjne niektórych zakładów niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, nękanego licznymi nalotami bombowymi lotnictwa alianckiego. Miano tutaj remontować samochody wojskowe oraz produkować niektóre części do samolotów.

Sztabowcy hitlerowscy przypomnieli sobie o fortyfikacjach międzyrzeckich dopiero w połowie 1944 roku, gdy front wschodni zaczął się zbliżać do granic tak zwanej "starej Rzeszy", Zaczęto więc gorączkowo i chaotycznie rozbudowywać przede wszystkim połowe umocnienia fortyfikacyjne, aczkolwiek pewne prace inwestycyjno-modernizacyjne wykonano także w systemie umocnień stałych. Nie na wiele to się jednak zdało. Podczas ofensywy styczniowej 1945 roku Ufortyfikowany Łuk Odry - Warty, obsadzony przez nieprzygotowane do tego rodzaju walk głównie zagraniczne jednostki Waffen SS i słabo uzbrojone oddziały Volkssturmu czyli niemieckiego pospolitego ruszenia, nie stanowił poważniejszej przeszkody dla nacierających na Berlin jednostek Armii Czerwonej, wchodzących w skład I Frontu Białoruskiego. Umocnienia przełamano niemal - jak to określają wojskowi - z marszu, w czym zresztą Rosjanom ponoć pomógł najzwyczajniejszy przypadek. - Otóż jeden z patroli zwiadowców radzieckich natknął się na porzucony i częściowo zniszczony wojskowy samochód niemiecki. Podczas jego przeszukania znaleziono między innymi mapnik, a w nim szkic terenu z zaznaczonymi planami wszystkich punktów oporu w tej okolicy, w tym także słabe miejsca obrony.

Umocnienia te nie zatrzymały więc Rosjan w drodze na Berlin. Olbrzymie środki finansowe i materiałowe, jakie przeznaczono na budowę, zmarnowano. I tylko potomnym pozostawiono swoisty pomnik spóźnionej o co najmniej dwadzieścia lat architektury i techniki fortecznej.

*

Międzyrzecki Rejon Umocniony obejmuje ziemie leżące w sąsiedztwie wiosek: Kaława, Wysoka, Boryszyn, Nietoperek, Kęszycza i Żarzyn, w pobliżu ruchliwej drogi z Międzyrzecza do Świebodzina. Środkiem tego byłego systemu umocnień wiedzie nasyp dzisiaj nieczynnej, częściowo nawet rozebranej, jednotorowej ongiś linii kolejowej. Niedaleko znajduje się wiele schronów bojowych z pancerwerkami i żelbetowych budowli obronnych, ubezpieczanych od wschodu siedmiorzędowym pasem zapór przeciwczołgowych, zwanych "zębami

smoka". Ale to, co było tu najważniejsze, ukryte jest w ziemi: komory, szyby i około 30 kilometrów tuneli, w pełni wentylowanych i oświetlonych, w tym główna podziemna droga ruchu około 8-kilometrowej długości. Kursowały tam kolejki wąskotorowe, mające w czasie walk dowozić do poszczególnych pancerników amunicję i żołnierzy. Pozostały szyny tej elektrycznej kolejki i perony podziemnych stacyjek, wyposażone w zwrotnice i podwójny tor.

Jedyny, częściowo zasypany wjazd na tę podziemną drogę znajduje się w lesie koło wioski Wysoka. W pobliżu stoją ruiny dużej żelbetowej hali o zapewne przemysłowym przeznaczeniu, o czym świadczą choćby fundamenty pod na przykład duże obrabiarki, frezarki czy tokarki.

Hala ta jest mocno uszkodzona. To albo "pamiątka" po walkach o przełamanie tych umocnień w końcu stycznia 1945 roku, albo skutek powojennej akcji wysadzania części Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego w powietrze. Rychło jednak okazało się, że niszczenie jest bardzo trudne i jeszcze bardziej kosztowne. Dalszej dewastacji zatem zaniechano, ratując fortyfikacje międzyrzeckie. Na jak długo? Bez odpowiedniej konserwacji i zabezpieczeń powoli, ale systematycznie one niszczą. Czy uda się je raz jeszcze uratować jako unikatowy w Polsce, a być może nawet w całej Europie środkowej zabytek budownictwa fortyfikacyjnego?...

*

Wspomniałem już, że podziemia umocnień międzyrzeckich systematycznie penetrują poszukiwacze przygód i sensacji - Nie brakuje tu również amatorów mocnych wrażeń. W ciemnościach podziemnego labiryntu odbywają się pijackie libacje, orgie i narkotyczne seanse. Ich uczestnicy często pozostawiają na ścianach napisy, gęsto okraszone słowami powszechnie uważanymi za nieprzyzwoite lub wręcz wulgarne. Z rozbijającą szczerością 19-lletnia Joanna z Częstochowy nabazgrała na ścianie: „*tu jadłam, tu piłam, tu cnotę straciłam*”.

Napisów jest więcej, zwłaszcza z czasów protestów przeciwko pochodzącemu z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych barbarzyńskiemu wręcz zamiarowi składowania w podziemiach międzyrzeckich odpadów radioaktywnych.

Nie brakuje tu także poszukiwaczy skarbów. Wydaje się, że skarbów tu nie ma, ale nie można z góry odrzucać żadnej, nawet pozornie najmniej prawdopodobnej hipotezy. W podziemiach ufortyfikowanego Łuku Odry - Warty odnaleziono już chyba wszystko, co Niemcy ukryli tu podczas drugiej wojny światowej. Nie była to zresztą najbezpieczniejsza kryjówka, ponieważ fortyfikacje międzyrzeckie miały przecież służyć obronie, i to aktywnej, a podczas walk wszystko może się zdarzyć. Przede wszystkim schowane przedmioty wartościowe, na przykład dzieła sztuki, mogą ulec zniszczeniu.

Niemcy wszak nie mogli przewidzieć, że dzięki przypadkowi umocnienia te oddziały Armii Czerwonej przełamają niemal z marszu.

Prawdą jest jednak, że fascynacja rozmachem fortyfikacji międzyrzeckich zepchnęła na dalszy plan ewentualność ukrywania tu nadal skarbów.

Wiadomo bowiem, że przez długie lata powojenne znaczna część Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego znajdowała się w gestii oddziałów radzieckich, których żołnierze spenetrowali wszystko, co spenetrować się dało.

Zresztą z pozytywnym skutkiem.

Przypomnijmy przeto ten mało znany epizod z powojennych dziejów Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

"...Przebyliśmy do Poznania, a stamtąd do Międzyrzecza. Mieszkańcy miasta powiadomili radziecka komendanturę, że specjalna jednostka SS ostatnio zajęta była zwożeniem i lokowaniem czegoś w mniejszych podziemnych fortyfikacjach"

napisał po latach od tych wydarzeń w czasopiśmie „Kultura Radziecka” Siergiej Sidorow. Był on przedstawicielem ZSRR w Sojuszniczej Radzie Kontroli w Niemczech, przy której funkcjonował specjalny wydział zajmujący się odszukiwaniem i zabezpieczaniem dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców na ziemiach przez nich okupowanych.

Ekipa wojskowych radzieckich udała się we wskazany rejon. "Rozpoczęliśmy penetracja tych bunkrów i w rezultacie szczegółowych poszukiwań znaleźliśmy głęboko pod ziemią doskonale zamaskowaną komorę, obudowaną ze wszystkich stron litym betonem..."

Gdy wreszcie udało się w betonie przebić wejście, w świetle latarek elektrycznych ekipa zobaczyła

"rozbitą starą porcelanę i kryształy. Poniewierały się różnego rodzaju monety. Pod ścianami stosy skrzyń, w których znajdowały się obrazy, grafiki, akwaforty, rzeźby, dzieła sztuki zdobniczej, które – jak się później okazało - zostały zrabowane przez hitlerowców z muzeów Warszawy, Krakowa, Poznania, Gdańska..."

O odkryciu został poinformowany Leonid Zorin, późniejszy minister handlu zagranicznego ZSRR, który w tym czasie sprawował obowiązki szefa wydziału zabezpieczającego zrabowane przez Niemców dzieła sztuki. I postarał się już o to, by je rzeczywiście zabezpieczyć na długie lata,

"Na jego polecenie - napisał Sidorow „skarby kultury polskiej zostały spakowane i przewiezione do najbliższej stacji kolejowej. Transport został skierowany do Moskwy, gdzie odnalezione eksponaty zostały poddane restauracji..."

Sidorow dodał Jeszcze, że w 1956 roku uroczyście przekazano je Polsce, Czy jednak wszystkie? I co w ogóle odnaleziono w podziemnym labiryncie Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego? Te pytania ciągle pozostają bez odpowiedzi.

W podziemiach tak zwanej pętli boryszyńskiej Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego stoi brzozowy krzyż, pod nim leżą często wiązanki kwiatów lub świerkowe gałązki, obok zaś palą się znicze lub świece. A na pobliskiej ścianie napis:

"ZHP - W tym miejscu zginęła tragicznie w 1988 roku harcerka. Przechodniu, uszanuj miejsce pamięci, zdejmij czapkę i zapal świecę".

- *Było to zimą - opowiada Piotr Sateja. - Agnieszka znajdowała się w grupie, która schodziła do podziemi w miejscu bardzo niebezpiecznym, ponieważ nie mu tam poręczy. W pewnym momencie Agnieszka poślizgnęła się i wpadła do głębokiego na około 35 metrów szybu po windzie do transponowania amunicji. Spadła na jakąś metalowa część i zginęła na miejscu.*

- *Według nieco innej wersji - dodaje Maciej Głowacki - Agnieszka przez swoją nieuwagę wpadła do tego szybu, niewidocznego w ciemnościach, Szyb ów jest na przeciwko pomieszczenia, gdzie znajdują się schody. Pewnie nie zapalili jeszcze laterek, licząc na dochodzące słabe światło dzienne, Może oszczędzali baterie? W każdym razie Agnieszka nie zauważyła szybu,*

Tu jedna z co najmniej kilku śmiertelnych ofiar cywilnych, które od zakończenia wojny pochłonęły podziemia międzyrzeckie. Nadal są one niebezpieczne, zwłaszcza dla nieprzygotowanych amatorów takich właśnie "turystycznych eskapad".

- *Wybierając się do tego podziemnego labiryntu - wyjaśnia Sateja - trzeba wiedzieć, że zarówno zimą, jak i latem utrzymuje się tu siła temperatura plus 7 stopni Celsjusza. Trzeba się więc ciepło ubrać, zwłaszcza latem. Potrzebne są ponadto: czapka i kalosze, ciepłe skarpetki i sweter na zmianę, latarka elektryczna z zapasową baterią i żaróweczka, chociaż zdarza się, że niektórzy wybierają się z pochodnią, a nawet... świeczką. Trzeba mieć też w miarę dokładny plan podziemi No i najlepiej chodzić w grupie co najmniej kilku osób. Łatwo tu bowiem zabiedzić.*

- *Kiedyś sam przeżyłem chwile strachu - dodaje Głowacki - Po przejściu pętli boryszyńskiej nasza grupa znalazła się na głównej drodze ruchu. poblizu jednego z odgałęzień spotkaliśmy ekipę z Poznania, Chwilę porozmawiałem ze znajomymi dziewczynami, a tymczasem moja grupa poszła dalej. Nie zauważyłem, dokąd Zacząłem więc ich szukać i sam zabłądziłem. Nie miałem przy sobie planu podziemi i minęły chyba dobre dwie godziny, zanim po licznych przygodach nie znalazłem wyjścia na powierzchnie...*

*

Przez długie lata powojenne o Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym wiedzieli mieszkańcy okolicznych miejscowości, wiedzieli też historycy wojskowości, niektórzy dziennikarze i poszukiwacze sensacji z lat minionej wojny. W kraju było o tych umocnieniach jakoś cicho. Do czasu jednak. O ciągnących się kilometrami korytarzach podziemnych dowiedzieli się bowiem

rodzimi atomiści. Już po pierwszych, dość powierzchownych oględzinach, zapadła wstępna decyzja. To wymarzone miejsce na składowanie odpadów radioaktywnych!

Dowiedzieli się o tym dziennikarze. Oględnie, by nie narazić się na ingerencję cenzury, poinformowano o tym opinię społeczną. Nie na żarty przestraszyli się mieszkańcy Międzyrzecza, Świebodzina i okolicznych miejscowości. Doszło do pierwszych, zrazu spokojnych jeszcze protestów, potem już do ulicznych manifestacji, gdzie zaczęły przeważać emocje. Zaprotestowali leż ekolodzy i przyrodnicy, a poparli ich znawcy i miłośnicy starych budowli fortyfikacyjnych.

Pomysł ze składowaniem odpadów radioaktywnych w podziemnym labiryncie fortyfikacji międzyrzeckich był od początku co najmniej kontrowersyjny, a być może nawet wręcz zbrodniczy. Przeciwnicy bowiem wyciągnęli argumenty, których zapewne nic brali pod uwagę atomiści. Otóż umocnienia te leżą na terenach o wysokiej średniej opadów rocznych. Wody deszczowe przedostają się także do podziemi. Przewidzieli to Niemcy, budując odpowiedni system odwadniającego. Miejscami on obecnie nie działa, Jest albo w nieznanym miejscu uszkodzony, albo zatkany. W każdym razie na znacznych odcinkach korytarzy - o czym wspominał Maciej Głowacki - stoi woda. Ta przeciekająca woda deszczowa mogłaby z czasem uszkodzić betonowe osłony pojemników z odpadami radioaktywnymi. Stałoby się to może za sto, może za trzysta, a może dopiero za pięćset lat. Ale prawdopodobieństwo takiego uszkodzenia było wielkie. I w tej sytuacji skażona woda z podziemi międzyrzeckich przez zupełnie nie rozeznany system kanalizacyjny dostałaby się do wód głębinowych i do pobliskich wód powierzchniowych. Do licznych tu jezior oraz rzeki Paklicy. Nastąpiłoby gigantyczne skażenie promieniotwórcze środowiska człowieka zachodniej Polski. Rozmiarów takiej katastrofy nic da się obecnie w ogóle wyobrazić...

W końcu zwyciężył rozsądek i poczucie odpowiedzialności za życie i zdrowie pokoleń, które przyjdą po nas. Jesienią 1987 roku premier Zbigniew Messner nakazał przerwanie przygotowań do składowania odpadów radioaktywnych w podziemnych korytarzach fortyfikacji międzyrzeckich.

Nietoperze zatem mogą w podziemiach spać spokojnie. Mieszkańcy okolicznych miejscowości też. I tylko na schronie koło Kaławy pozostał z roku na rok coraz mniej czytelny napis ostrzegający żywych, by były hitlerowskie fortyfikacje Bramy Brandenburskiej już nigdy nie służyły sianiu śmierci.

ZŁOWIESZCZE GÓRY

Dwa białe pasy, a między nimi czarny. Po prostu oznakowanie szlaku turystycznego. Ten jednak nie wiedzie do zamków, zabytkowych ruin lub na szczyty gór, chociaż przebiega przez nadzwyczaj malownicze okolice. Tym szlakiem ludzie wielu narodowości nie szli ongiś na wycieczki. Maszerowali do ciężkiej i niebezpiecznej pracy, gdzie śmierć zbierała obfite żniwo. Są na tym szlaku i cmentarze. Pochowano tam także tych, którzy zginęli w tej okolicy przy pracy, od kuli czy pod pejcem esesmana lub zmarli z głodu, chorób i wycieńczenia. Wielu innych, którzy pozostali tutaj na zawsze, nie znalazło grobu w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Wielkim grobem jest bowiem cała okolica. Nic zatem dziwnego, że ów biało-czarno-biały szlak nosi nazwę "szlaku martyrologii"- Rozpoczyna się on tuż obok nieczynnej stacji kolejowej w Jugowicach i przez Walim, Rzeczkę oraz Kolce wiedzie do stacji Głuszycza Górna w województwie wałbrzyskim. Obejmuje więc tylko część terenów w malowniczych Górach Sowich, które w ostatniej fazie wojny były miejscem tajemniczej i zakrojonej na wielką skalę budowy.

Tego gigantycznego przedsięwzięcia górniczo-budowlanego nigdy nie ukończono. Dzisiaj zza krat chroniących wejścia do podziemi Gór Sowich wionie chłodem, wilgocią i stęchlizną. Stosy skamieniałych worków z cementem porastają mchem i trawą, Gdzieś tam wystają z ziemi fragmenty szyn i podkładów kolejki wąskotorowej. Drzewa i gęste krzewy rosną tuż obok żelbetowych budowli naziemnych, zasłaniając je przed oczami turystów, Przyroda z roku na rok zaciera ślady tajemniczej budowy.,

"Na podstawie wyników wizji lokalnej oraz relacji i zeznań świadków sformułowano hipotezy, które wciąż nie znajdują jednoznacznego potwierdzenia w miarodajnych źródłach - pisał w 1980 roku Alfred Konieczny w tomie VI wychodzących we Wrocławiu "Studiów nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi". - Kwestii dotyczących przeznaczenia budowli w Górach Sowich, daty rozpoczęcia prac, liczby i narodowości zaangażowanych sił roboczych oraz ich ostatecznego losu itd. Nie wyjaśniło także dokładniej śledztwo prowadzone przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu".

Tajemnicza budowa w Górach Sowich nie jest już jednak aż tak tajemnicza, jak przed laty. Ale zacznijmy od początku...

*

We wtorek wieczorem, 17 sierpnia 1943 roku, ponad pięćset czteromotorowych bombowców typu "Slirling", "Halifax" i "Lancaster", wraz z 65 maszynami wyznaczającymi trasę, wystartowało z lotnisk Wielkiej Brytanii do wyprawy otoczonej do tej pory najściślejszą tajemnicą wojskową.

Decyzję o tej wyprawie bombowej, do której rezultatów gabinet wojenny Winstona Churchilla przywiązywał ogromne znaczenie, podjął brytyjski Komitet Obrony pod koniec czerwca. Przygotowania trwały więc ponad półtora miesiąca i nie zostały wykryte przez wywiad niemiecki.

Celem lotnictwa alianckiego był hitlerowski ośrodek doświadczalno-produkcyjny broni raketowej w Peenemuende na wyspie Uznam (Usedom) nad Bałtykiem. Do jego wykrycia walnie przyczynił się wywiad Armii Krajowej. Od momentu, gdy do Londynu zaczęły nadchodzić pierwsze wiarygodne, potwierdzone następnie zdjęciami lotniczymi, meldunki wywiadowcze na temat ściśle strzeżonych zakładów na wyspie Uznam oraz sąsiadującego z nimi poligonu doświadczalnego samolotów bezpilotowych, zwanych też bombami latającymi V-1 i pocisków raketowych z serii "Aggregat-4" znanych jako V-2, los tych obiektów był już przesądzony. Wyrok wykonano tamtej właśnie sierpniowej nocy.

"..Drogą radiową - wspominał później dowódca wyprawy bombowej na Peenemuende, pułkownik John H. Searby - dałem rozkaz zbliżającym się bombowcom rozpoczęcia bombardowania przede wszystkim obiektów oznakowanych zielonymi raketami. Teraz Peenemuende powoli zmieniało się w znany mi już obraz celu masowego nalotu. Wybuchające bomby, chmury rozprzestrzeniającego się dymu, ślizgające się i krzyżujące się raz. po raz światła reflektorów czarny ogień ciężkich dział przeciwlotniczych. Teren bombardowania zmienił się raptownie. Istne piekło.."

Dymiły jeszcze zgliszcza zbombardowanego Peenemuende, gdy 26 sierpnia odbyła się w Berlinie ściśle tajna narada z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Uzbrojenia i Amunicji III Rzeszy, wojska i przemysłu, w tym przedstawicieli ośrodka na wyspie Uznam, W naradzie uczestniczył pułkownik SS, wkrótce awansowany na generała - dr inżynier Hans Kammler, szef grupy urzędowej C w kierowanym przez Oswalda Pohla Głównym Urzędzie Administracyjno-Gospodarczym SS. Cztery dni wcześniej Adolf Hitler powierzył Kammlerowi dowództwo nad wykonaniem programu tajnych broni. Wobec unieruchomienia produkcji w Peenemuende i zagrożenia jej podjęcia przez kolejne naloty alianckie, fuehrer polecił przenieść wytwarzanie broni specjalnych do fabryk podziemnych. O siłę roboczą przywódcy III Rzeszy się nie martwili. Do dyspozycji mieli jeńców wojennych i robotników przymusowych, zaś reichsfuehrer SS i szef policji niemieckiej - Heinrich Himmler obiecał, że z obozów koncentracyjnych dostarczy każdą wymaganą liczbę więźniów, w tym również wysokiej klasy specjalistów.

Znane są najważniejsze ustalenia, które podjęto na berlińskiej naradzie. Otóż postanowiono mimo wszystko odbudować ośrodek w Peenemuende, niemniej, biorąc pod uwagę groźbę dalszych nalotów, zaproponowano przeniesienie

głównych zakładów produkcyjno-montażowych do fabryki podziemnej w Górach Harcu koło Nordhausen. Zakłady badawczo-rozwojowe miały zostać umieszczone w podziemnej grocie, która powstałaby po rozsadzeniu skał nad jeziorem Traunsee, natomiast wyrzutnia doświadczalna dla rakiet V-2 koło wsi Blizna w pobliżu Mielca w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie zresztą znajdował się już wtedy poligon ćwiczebny wojsk SS "Heidelager".

Czy na tej naradzie padło po raz pierwszy słowo Eulengebirge? To - przetłumaczymy - niemiecka nazwa Gór Sowich, Tak uważano do niedawna, chociaż biorąc pod uwagę najnowsze ustalenia, można w to wątpić. Aczkolwiek nie można też wykluczyć, że gdzieś na marginesie głównego tematu narady mógł któryś z obecnych wymienić nazwę albo Gór Sowich, albo pobliskiego Wałbrzycha (wówczas Waldenburga). Wszak planując budowę dużych fabryk podziemnych, gdzie z czasem zamierzano produkować części i podzespoły między innymi i do rakiet V-2, musiano zdać sobie sprawę z ogromnego zakresu robót górniczych i budowlanych oraz konieczności wygospodarowania wielu niezbędnych, a deficytowych w III Rzeszy materiałów i surowców. Bo te potrzebne były także w Górach Sowich.

Nie można jednak wykluczyć, że wstępną decyzję w sprawie Gór Sowich podjęto już wcześniej, być może nawet grubo przed sierpniowym bombardowaniem Peenemuende. Dzisiaj wiadomo na pewno że decyzję tę podjął sam Adolf Hitler, bo jego właśnie dotyczyła,...

Dlaczego wybrał okolice Wałbrzycha? Musiał wszak uwzględnić takie choćby fakty, że jest to mocno uprzemysłowiony region o dobrze rozwiniętej sieci dróg i linii kolejowych, że teren przewidziany na budowę podziemi jest licznie zamieszkały, co mimo wszystko utrudniać będzie zachowanie tajemnicy i że same Góry Sowie nie posiadają naturalnych grot i jaskiń, wyżłobionych przez wodę i czas, znacznie ułatwiających roboty górnicze.

Wróć jeszcze do tego faktu, gdy sprawa podziemnych budowli w okolicach Wałbrzycha stanie się przyczyną awantury w Głównej Kwaterze Fuehrera, W tym miejscu dodam tylko, że w połowie roku 1943 Dolny Śląsk znajdował się poza zasięgiem alianckiego lotnictwa bombowego, ale przecież po to zamierzano coś budować wewnątrz gór, aby uchronić to przed nieprzyjacielskimi bombami, A więc już wówczas liczono się z możliwością przesunięcia linii frontów w pobliże granic Rzeszy? A może nie chodziło wcale o ochronę przed nalotami bombowymi w rozumieniu tych słów z roku 1943? Może - co wcale nie jest fantazją - spoglądano na Góry Sowie perspektywicznie, myślano o wcale nie tak odległych czasach, gdy na polu walki pojawi się nowa broń o nieporównywalnie większej sile?

Wszak w odnalezionych po wojnie tajnych dokumentów hitlerowskich wynika, że władze III Rzeszy uznały tereny Dolnego Śląska za ziemie bezpieczne, Nie mogły ich niepokoić ani dywanowe naloty alianckie, ani armie radzieckie, które - według przewidywań strategów niemieckich - nie powinny były przekroczyć linii Wisły.

Uznając Dolny Śląsk, a ściślej rejon Sudetów, za obszar bezpieczny, nadano mu miano "schronu Rzeszy" i ewakuowano tu ludność cywilną z terenów objętych bombardowaniami. W październiku 1943 roku liczba ewakuowanych przekroczyła 110.000 osób, z czego na rejencję wrocławską przypadało ponad 50.000, a na legnicką ponad 60.000 osób. W rejencji wrocławskiej powiatem, który przyjął najwięcej ewakuowanych, był Wałbrzych, a za nim plasowały się ówczesne powiaty: kłodzki, dzierzoniowski, wrocławski i świdnicki.

I właśnie na terenie ówczesnego powiatu wałbrzyskiego, gdzie oprócz licznych stałych mieszkańców przebywało wielu ewakuowanych z innych części Rzeszy cywilów, rozpoczęto objętą ścisłą tajemnicą państwową budowę tajemniczych obiektów podziemnych i naziemnych.

*

Alfred Konieczny w cytowanym już szkicu zwrócił uwagę, że zasadniczym mankamentem prowadzonych da 1980 roku badań nad tajemnicami Gór Sowich było niedostrzeżenie dwóch odrębnych okresów budowy w rejonie Walimia, Jugowic i Głuszycy.

"W pierwszym okresie, zapoczątkowanym najprawdopodobniej w listopadzie 1943 roku, prace były prowadzone pod kierownictwem specjalnie w tym celu utworzonej spółki akcyjnej Śląska Wspólnota Przemysłowa (Schlesische Industriegemeinschaft A.G.), a siłę roboczą stanowili zagraniczni robotnicy przymusowi, Natomiast w drugim okresie, poczynając, od kwietnia 1944 roku, budowę przejęła Organizacja Todta i realizowała ją za pośrednictwem nowego zwierzchniego kierownictwa budowy o kryptonimie "Olbrzym" (Oberbauleitung Riese): głównym dostawcą siły roboczej stał się wówczas obóz koncentracyjny Gross-Rosen".

Roboty górnicze i budowlane prowadzono w okolicach Walimia (Wuestewaltersdorf), Głuszycy (Wuestegiersdorf) i sąsiadujących z nimi miejscowości, głównie w masywie Włodarza i Osówki, gdzie właśnie znajduje się najbardziej rozbudowany system podziemnych korytarzy i komór.

Tajemnicze sztolnie, wydrążone w skałach ręką ludzką, spotyka się też w innych częściach Gór Sowich.

Całe to przedsięwzięcie, zakrojone - jak się miało wkrótce okazać - na gigantyczną skalę, rozpoczęto od wprowadzenia ostrych środków bezpieczeństwa w miejscowościach leżących w Górach Sowich - mieszkańcom, zarówno stałym, jak i ewakuowanym tutaj z innych rejonów Rzeszy, wydano przepustki i znacznie ograniczono im swobodę poruszania się po tym terenie. Zabroniono odwiedzania miejscowej ludności przez osoby z zewnątrz, nawet przez najbliższych krewnych. Ustawiono szlabany, wystawiono posterunki, a liczne patrole dniem i nocą przeczesywały okolicę. Jednocześnie zaczęto zwozić przeróżne materiały i surowce tak w Niemczech w końcu piątego roku wojny deficytowe,

jak choćby stal zbrojeniową, kable, rury i tysiące, setki tysięcy worków z cementem.

Roboty górnicze rozpoczęto od razu na kilku kompleksach i pracowano bez przerw, na zmianę - w dzień i w nocy. Za robotnikami wgryzającymi się na przodkach w twarde skały - granit i porfir - rozstawione były grupy poszerzające chodniki. W przypadku zaprojektowanych komór podziemnych o rozmiarach na przykład hal fabrycznych drążono obok siebie kilka chodników, później dopiero wybierając znajdujące się między nimi skały. W ten sposób w szybkim tempie powstawały wielkich rozmiarów komory, średnio o wysokości 12 metrów i szerokości 10 metrów oraz długości do 50 metrów. Największa z nich liczy sobie sto metrów długości. Sprzęt i materiały budowlane transportowano za pomoce podziemnej kolejki wąskotorowej. Wagonikami tej kolejki wywożono również urobek czyli gruz skalny i niemal natychmiast transportowano na inne budowy, najprawdopodobniej dróg i autostrad, nie gromadząc go na hałdach. Posadzki, ściany i stropy podziemnych koniarzy i komór betonowano. Ogromne ilości potrzebnego do tego betonu przesyłano do wnętrza gór rurociągami, co było wówczas zupełną nowością w technice budowlanej.

Spory ruch .panował również na powierzchni, gdzie jednocześnie z wykonywaniem podziemnych labiryntów wznoszono w dolinach i na stokach gór różne żelbetowe obiekty. Ponadto liczne ekipy robotników przymusowych trudniono były przy budowie dróg i torowisk kolejowych, montażu instalacji elektrycznych, wywozie skał i dostarczaniu potrzebnych do robot podziemnych materiałów wybuchowych, siali zbrojeniowej, drewna, cementu - roboty były tak zorganizowane, iż jedna grupa nic mogła się zorientować w charakterze prac innej. Dotyczyło to również zatrudnionych lulaj, nielicznych pewnie, wysoko kwalifikowanych robotników niemieckich.

Najprawdopodobniej z pierwszego okresu robót górniczych i budowlanych w Górach Sowich pochodzi relacja świadka i zarazem uczestnika zagadkowych zgoła transportów, opublikowana w "Żołnierzu Wolności" 4 lipca 1964 roku:

„ W 1944 roku do firmy, w której pracowałem, przyszło dwóch Niemców ubranych po cywilnemu. Już od pierwszej chwili przekonałem się, że mam do czynienia z gestapowcami. Oświadczyli, że znają mnie jako dobrego kierowcę i w związku z tym chcą mnie zaangażować na trzy tygodnie do pewnej pracy. Oczywiście, cała ta grzeczna propozycja była fikcją, bo gdy chciałem pójść do domu, aby pożegnać się z rodziną, kategorycznie zabronili mi tego uczynić.

Później jechaliśmy ciężarówką aż do Wrocławia. Było nas kilku. We Wrocławiu kazano nam podpisać dokumenty, z których wynikało, że praca, przy której będę zatrudniony, jest ściśle tajna, a zdradzenie tajemnicy grozi śmiercią. I to tak mnie, jak i mojej najbliższej rodzinie. Później przywieziono mi samochód ciężarowy. Wóz, jak sprawdziłem, był w bardzo dobrym stanie.

Wraz ze mną do kabiny wsiadł jeden esesman z pistoletem maszynowym. Pojechaliśmy na dworzec, a ściślej mówiąc na rampę kolejową. Tutaj kazano mi podejść do jednego z wagonów towarowych, wyjść z wozu i oddalić się na

200 metrów. Wszystkie wagony towarowe były obstawione przez gesty kordon SS i Bahnschulzpolizei. Nie wiem, co załadowywano do samochodu, bo musiałem stać tyłem. Później w trakcie jazdy stwierdziłem po zachowaniu się wozu na jezdni, że był to jakiś znaczny ciężar, gdzieś w maksymalnych granicach obciążenia ciężarówki...

Zapytałem esesmana, który siedział obok mnie, gdzie jedziemy? Ten odpowiedział że nie moja rzecz, że on prowadzi, i rzeczywiście, prowadził i to bez mapy. Musiał znać drogę na pamięć. Od Świdnicy skręciliśmy w stronę gór. Przy pierwszych wzniesieniach esesman kazał stanąć i czekać do zmroku.

Gdy zapadł zmierzch dano rozkaz odjazdu. Jechaliśmy bardzo wolno, przez cały czas na światłach postojowych. Kierunek jazdy dyktował esesman. Później, gdy wjechaliśmy w góry, zaczął się odcinek kilkukilometrowej fatalnej drogi. Wtedy jeden z esesmanów, klony siedzieli na skrzyni samochodu, wysiadł i wskazał drogę światłem latarki. Stanęliśmy w środku lasu. Kazano mi wysiąść i odejść od wozu. Poszedłem w las w towarzystwie jednego esesmana. Od wozu dzieliło mnie jakieś 100-150 metrów. W świetle zapalonych latarek widziałem, jak do mojego wozu podeszło dwóch mężczyzn, którzy wsiedli do szoferki i samochód odjechał. Po jakiejś godzinie wóz wrócił. Tamci wysiedli, a mnie po pięciu minutach zawołano do samochodu. Takich podróży odbyłem dziesięć. Za każdym razem z identycznymi szczegółami. Razu pewnego udało mi się podслуchać fragment rozmowy dwójki esesmanów: *Chce mi się pić. Może wstąpimy na piwo do Wuestewaltersdorf?* - powiedział jeden. Drugi go skrzyczał, nazwał idiotą i kazał mu w ogóle zapomnieć, że taka miejscowość istnieje.. "

Przypomnę, że Wuestewaltersdorf to niemiecka nazwa Walimia.

*

Mimo znakomitej organizacji robót, budowa obiektów podziemnych w okolicach Walimia nie przebiegała w tempie, którego życzyłby sobie Hitler. Na początku kwietnia 1944 roku odbyła się bowiem w Obersalzbergu narada poświęcona priorytetowym inwestycjom III Rzeszy z udziałem samego fuehrera. Mówiono również o Walimiu. Hitler wyraził niezadowolenie ze zbyt powolnego - jego zdaniem - tempa budowy i polecił, by kierownictwo nad całością prowadzonych prac objęła Organizacja Todta, Polecono też, by pracujących w Górach Sowich zagranicznych robotników przymusowych zasilili więźniowie obozów koncentracyjnych.

Obecny na naradzie główny inspektor Luftwaffe - feldmarszałek Erhard Milch zwrócił uwagę, że budowa pod Wałbrzychem pochłonie 28.000 ton cementu i stali, to jest tyle, ile wynosi roczny przydział na budowę schronów przeciwlotniczych w całym Niemczech. Zauważył też, że zaledwie od jednego do dwóch procent ludności cywilnej może korzystać z bunkrów przeciwlotniczych i dlatego *"mogłoby się przecież zdarzyć, że naród pewnego dnia przestanie to dłużej tolerować i zorganizuje powstanie"*

Hitler na to wpadł w wściekłość i waląc ręką w stół krzyczał: *"Wówczas rozkazę wkroczyć dywizji SS i rozstrzelać całą tę bandę!"*

Budowa pod Wałbrzychem miała być zatem kontynuowana bez względu na koszty i inne przeszkody...

Do istniejących czterech obozów pracy dla robotników przymusowych, zlokalizowanych w Walimiu i Kolcach oraz dwóch w Głuszycy, doszły w końcu kwietnia dwa następne, do których zaczęto zwozić więźniów z oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Rogoźnicy koło Strzegomia. Jeden z nich został zorganizowany w Jedlinie i był pierwszą filią tego dolnośląskiego obozu koncentracyjnego w Górach Sowich, znaną pod nazwą Arbeitslager Tannhausen. W następnych miesiącach powstały tutaj kolejne obozy filialne Gross-Rosen, w których przebywali: Polacy, Rosjanie i obywatele ZSRR innych narodowości, Czesi, Francuzi, Włosi, Belgowie, Duńczycy, Norwegowie oraz Żydzi z kilku krajów okupowanej przez Niemcy Europy. Ich dokładna liczba nie jest znana.

Alfred Konieczny podaje, że według sianu z 5 maja 1944 roku Organizacja Todta dysponowała w Górach Sowich 4.232 robotnikami przymusowymi i więźniami obozu Gross-Rosen, lecz w kilku następnych miesiącach liczba ta wyraźnie wzrosła, chociaż trudno ustalić do jakiego pułapu.

W każdym razie o skali przedsięwzięcia "Olbrzym" świadczyć może pismo ministra do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego III Rzeszy - Alberta Speera skierowane 22 września 1944 roku do wojskowej adiutantury Hitlera, że na budowę kompleksu "Riese" zużyto więcej cementu aniżeli w całym roku 1944 można było przydzielić na budowę schronów przeciwlotniczych dla ludności cywilnej...

Warunki pracy oraz bytowe robotników przymusowych pogorszyły się znacznie z chwilą przejścia kierownictwa robót przez Organizację Todta i skierowania tutaj więźniów obozu Gross-Rosen. Najwięcej ofiar śmiertelnych pociągała za sobą praca wymagająca nadludzkiego wysiłku. Codziennie z rąk esesmanów, nadzorujących roboty w Górach Sowich, ginęli przede wszystkim najslabsi więźniowie, ci, którzy albo nie wytrzymali morderczego tempa pracy, albo zbyt wolno - zdaniem nadzorców - wykonywali te czy inne polecenia. Los zdrowych i silnych fizycznie więźniów nie był zresztą lepszy. Najprzeróżniejsze szykany stosowane przez esesmanów i wymyślne tortury przynosiły krwawe żniwo. Najmniej odporni fizycznie więźniowie odbierali sobie życie. Wielu zginęło również podczas pracy, przygniecionych skałami podczas budowy podziemnych sztolni. Kierownictwo robót nie dbało bowiem w ogóle o zabezpieczenie przed wypadkami.

Po latach świadectwo prawdzie dał człowiek, który przeżył piekło Gór Sowich. Jeśli zdarzają się cuda, to przeżycie tego piekła było dla niego rzeczywiście cudem. Oto fragmenty wstrząsającej relacji łódzkiego Żyda, Abrama Kajzera, więźnia wielu hitlerowskich obozów koncentracyjnych, który w Górach Sowich doczekał się wolności. Spisywany, na ogół w latrynach, na

papierze po workach z cementem pamiętnik wydobył on ze schowków po wojnie i po redakcyjnym opracowaniu przez Adama Ostoję pod tytułem "Za drutami śmierci" wydał w 1962 roku w formie książki.

*"„W poniedziałek wysłano czterdzieści osób do Wolfsberga (niemiecka nazwa Włodarza). Drogę, jakieś osiemnaście kilometrów, odbyliśmy pieszo. Lagerfuehrer wybrał najgorzej wyglądających, samych "muzułmanów" i oświadczył, że "tam" podreperujemy się. Kilku z nas, najbardziej osłabionych padło w drodze. W obozie oczekiwał już nas Unterscharfuehrer. Na widok naszych staniających się postaci zrobił litościwa minę i kazał prędko przynieść krzesło dla niejakiego Ryby, który nie mógł już utrzymać się na nogach o własnych siłach. Usadawił go przed nami na dziedzińcu i zaczął przemawiać:
- Och, ty musisz być bardzo chory— Widać to po twojej twarzy i oczach... Pewnie dalej już byś nie zaszedł.. Przydałaby ci się gorąca kawa z mlekiem, słonina, wygodne łóżko z ciepłym kocem... Tak, tak... zaraz się robi, zaraz to wszystko będziesz miał.*

Ryba nic nie odpowiadał, tylko kiwał potakująco głową, którą z trudem unosił na szyi.

Unerscharfuehrer poszedł do kuchni i wrócił z pełną menażką gorącej kawy. Zbliżył się do Ryby i troskliwie zapytał:

- Chcesz pić? No, masz, ale ostrożnie, wolno, bo mógłbyś się zakrzusić.

Podsunał mu menażkę po sam nos i chlusnął całą zawartość w twarz. Ryba mimo woli uniósł się z krzesła.

-A widzisz.! - mówił dalej esesman -już Ci jest lepiej. A teraz pobiegamy sobie trochę, aby rozgrzać się, bo nie daj Boże, możecie się przeziębic.

I pędził nas kijem w rękę ze dwie godziny po olbrzymim dziedzińcu, póki komanda nie zaczęły wracać do obozu.

Niektóre grupy pracują w tunelach dla firmy Stohl. Ci ludzie mają najlepiej, Zajęci są wszystkiego osiem godzin na dobę i otrzymują co dwa tygodnie dodatkowo jeden kilogram chleba; oprócz tego wydają im porcje sztucznego miodu, cukru, margaryny i papierosów. Baustelle (budowa) jest tutaj olbrzymie, odległe od obozu o jakieś trzy kilometry. Cała droga pokryta jest śniegiem sięgającym kolan. Ja pracuję w "małych kamieniołomach".

Od poniedziałku pracuje na nocnej zmianie w firmie Buzer przy "kipowaniu", Co pół. godziny nadchodzi pociąg, który musimy wyładować i "kipować" do wąwozu, Słychać tylko uderzenia kilofów, szurgot szufel i łoskot spadających kamieni. Niezmordowany majster nawołuje: Bewegt euch... Bewegung! (Ruszać się... Ruch!).

Praca nagli. Nim zdążymy rozładować jeden pociąg, już nadjeżdża drugi. Nie ma czasu odetchnąć, wyteżamy wszystkie siły, byleby nadażyć. Walczymy z wichurą, która nas chce przewrócić. Każdy dobywa z siebie resztek sił i pracuje, aby tylko nie zamarzać. Choć majster nie może narzekać na tempo naszej pracy, to jednak gdy spojrzy na zegarek i widzi, że niebawem nadejdzie następny po-

ciąg, wpada w szat i okłada nas kijem po głowach, usiłuje nakłonić nas w ten sposób do większego wysiłku..."

Abram Kajzer, pozbawiony już wszelkich nadziei, postanowił popełnić samobójstwo. Zrazu myślał o powieszeniu się, lecz w końcu wybrał śmierć pod pędzącą lokomotywą... Oto inny fragment książki "Za drutami śmierci:

"...Wolfsberg, 23 grudnia 1944 roku. Minęła godzina, jedna i druga, a żadnego parowozu nie widać. Jak się później dowiedziałem, akurat zabrakło węgla, Zmartwiony postanowiłem już wracać na placówkę i zastanawiałem się, co powiedzieć majstrowi, gdy mnie zapyta, gdzie tak długo byłem... Nagle postyszałem gwizd lokomotywy i znów wstąpiła we mnie nadzieja. Wyglądało przecież na to, że będę musiał odłożyć całą tę przeprawę na jutro. Patrzyłem jak parowóz jedzie szybko z góry w moim kierunku.

Stałem z boku pozorując, że zamierzam czekać spokojnie, aż mnie minie. Skupiłem się w sobie, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi i gdy pociąg był w odległości jakichś pięciu kroków - błyskawicznie rzuciłem się przed siebie. Padłem na szyny przed szybko jadącą lokomotywą i równocześnie niemal otrzymałem silne uderzenie. Leżałem w ten sposób, że głowa moja wystawała z jednej strony toru, nogi z drugiej, a popychany wielkim ciężarem maszyny, po prostu ślizgałem się po szynach. Ogarnęła mnie straszna rozpacz, byłem zupełnie przytomny i nie mogłem pojąć dlaczego koła lokomotywy mnie nie przecinają. Prawdopodobnie kurtka za gruba lub może jestem za lekki i nie stawiam wystarczającego oporu, albo też szybkość parowozu jest zbyt mała. Z determinacją zacząłem chwytać ziemię, aby stawić opór. Wszystko na nic! Teraz ... teraz... wydaje mi się że się spełni! Słyszę jakiś przeraźliwy krzyk:

- Halt! Halt! Halt!

Parowóz zatrzymał się.

Zawezwano mnie do Lagerfuehrera. Jest to niedawno przybyły starszy człowiek, o jednej ręce bezładnej i stalowych oczach. W przeciwieństwie do jego kolegów, oczy te są czujne, rozumne i myślące.

Zapytał mnie jak i poprzednicy:

- Czemu?

Czułem, że muszę coś powiedzieć. Nie namyślając się wiele, palnąłem:

- Przy pracy biją, w obozie biją, w dzień biją, w nocy biją, nigdzie i nigdy spokoju, zawsze głód, zawsze zimno... to nie ma sensu!...

W filiach obozu Gross-Rosen w Górach Sowich szerzyły się ponadto epidemie chorób zakaźnych. Z powodu braku łaźni, ciepłej wody, mydła i czystej bielizny trudno było utrzymać minimum higieny osobistej. Liche ubrania nie chroniły przed zimnem. Sytuację zdrowotną pogarszała wszawica, panująca wśród setek stłoczonych w barakach i ziemiankach więźniów. Stąd też notowano liczne przypadki zachorowań, zwłaszcza na tyfus.

Dla chorych nie było już ratunku. Wprawdzie w obozach znajdowały się baraki dla nich przeznaczone, a w Kolcach i Jedlinie "rewiry lecznicze", to jednak pomocy lekarskiej w potocznym znaczeniu nikomu tam nie udzielano. Zresztą

sami Niemcy rewiry te nazywali "obozami zdychających". Więźniom tam skierowanym odbierano nędzne odzienie i w baraku leżąc nago nie otrzymywali prawie wcale pożywienia, zaś lurowatą kawę podawano tylko najciężej chorym. Nie było tam też lekarstw i środków opatrunkowych. Tak więc tylko nieliczni opuścili te "szpitale" o własnych siłach, ponownie zasilając komanda robocze.

Pracujący więźniowie otrzymywali zrazu litr wodnistej zupy, pół kilograma chleba, 5 dekagramów kiełbasy i 3 dekagramy margaryny dziennie na osobę. Później racje te uległy zmniejszeniu. Kilogramowy bochen chleba dzielono na pięć osób, zlikwidowano całkowicie dodatki tłuszczów. Przy takim wyżywieniu nawet lekarze w mundurach SS dziwili się, że śmiertelność wśród więźniów z powodu głodu i wycieńczenia jest - ich zdaniem - niska.

W pierwszych kilku miesiącach 1944 roku zwłoki zmarłych lub zamordowanych wywożono do Gross-Rosen, gdzie spalano je w piecach krematoryjnych. Później zwykłymi wozami, nierzadko ciągniętymi przez więźniów, transportowano je w góry, gdzie grzebano w masowych grobach. Niektóre z nich, na przykład w Kolcach i Walimiu, odkryto po wojnie.

Śmierć więc panowała w Górach Sowich niepodzielnie. A jednak znaleźli się tutaj ludzie, którzy nie bacząc na własne bezpieczeństwo, spieszyli z pomocą innym. Pomagano zwłaszcza jeńcom radzieckim, najgorzej tu traktowanym. Dostarczali im chleb, ziemniaki, lekarstwa, a nawet odzież i obuwie. Sporą inwencję w tym zakresie wykazywali przede wszystkim Polacy. Żywność wykradali z magazynów wojskowych lub kuchni polowych, znajdujących się na poszczególnych odcinkach budowy. Ci zaś, którzy - udając się do pracy - opuszczali strzeżone podobozy, kradli po prostu żywność w gospodarstwach niemieckich.

Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa SS i oficerowie kontrwywiadu wojskowego niemal codziennie odnotowywali na terenach tej gigantycznej budowy przypadki sabotażu i dywersji. Psuły się zwrotnice kolejek wąskotorowych, płonęły zbiorniki z paliwem, następowały awarie instalacji elektrycznych, pękały świdry wykonane z doskonałej stali szwedzkiej, systematycznie włamywano się do dobrze strzeżonych magazynów żywnościowych.

Także Polacy wywiezieni do Walimia na roboty przymusowe zorganizowali tutaj dość sprawnie działający system łączności. Dysponowali oni bowiem ukrytym odbiornikiem radiowym i nocami słuchali audycji rozgłośni alianckich, na skrawkach papieru sporządzając mini biuletyny z najważniejszymi informacjami ze świata i przemycali je następnie na tereny filii obozu Gross-Rosen w Górach Sowich. Tak więc wielu więźniów orientowało się, że koniec III Rzeszy zbliżał się wówczas milowymi krokami. Jedna z grup więźniarskich, licząca czternaście osób i składająca się z Polaków i Rosjan, oprócz aktów sabotażu i dywersji, prowadziła również pracę wywiadowczą, a zdobyte informacje o tajemniczej budowie przekazywała do Warszawy za pośrednictwem zakonspirowanych siatek AK we Wrocławiu i Katowicach.

Wprawdzie sporadycznie, ale zdarzały się przypadki pomocy udzielanej więźniom przez Niemców. Zwłaszcza niektórzy funkcjonariusze Organizacji Todta, wstrząśnięci ogromem zbrodni popełnianych w Górach Sowich i nie-ludzkim traktowaniem więźniów, zdobywali się niekiedy na odruchy litości, dostarczając ludziom w pasiakach przede wszystkim żywność i lekarstwa, a nawet., części i podzespoły radiowe, z których więźniowie sami zmontowali następnie całkowicie sprawny odbiornik.

Aż trudno uwierzyć, że w tym "królestwie śmierci" mogły funkcjonować różnorodne formy samopomocy więźniarskiej, dywersji i sabotażu, a nawet wywiadu. A jednak jest to prawda, chociaż poznana zaledwie w drobnej pewnie części. Niestety, na ślad niemal wszystkich, którzy w Górach Sowich prowadzili taką działalność, wcześniej czy później wpadała hitlerowska służba bezpieczeństwa. Zatrzymanych konspiratorów w pasiakach torturowano, żądając ujawnienia współtowarzyszy. Wielu wytrzymało męki, nie zdradzając nikogo. Wyrok zaś był zawsze taki sam - śmierć. Śmierć czekała nawet na tych, którzy w odruchu litości podali więźniowi radzieckiemu kawałek chleba czy ziemniaka lub niedopałek papierosa.

Hitlerowcy nie oszczędzali również swoich rodaków. Nieraz do więzienia gestapo w Wałbrzychu trafiali Niemcy nadmiernie interesujący się tajemniczą budową. Byli to często kilkunastoletni chłopcy, których – jak wszystkich w ich wieku ciekawiło po prostu to, co powstawało w sąsiedztwie rodzinnego domu,

*

W piątek, 12 stycznia 1945 roku, ruszyła gigantyczna ofensywa na froncie wschodnim. Oddziały radzieckie i polskie sforsowały Wisłę, której - jak przewidywali stratedzy hitlerowscy - Rosjanie nigdy nie powinni byli przekroczyć. Pod koniec tego miesiąca przerwano roboty górnicze i budowlane w Górach Sowich, a następnie przystąpiono do demontażu maszyn i urządzeń, a także wywożenia w głąb Rzeszy co cenniejszych surowców i materiałów oraz sprzętu. Gdy wojska radzieckie zaczęły wkraczać na północno-wschodnie tereny Dolnego Śląska, zniszczono lub ukryto dokumentację budowy, a później przystąpiono do zacierania śladów zbrodni.

Część robotników przymusowych i więźniów ewakuowano między innymi do podziemnej fabryki broni rakietowej w Górach Harcu koło Nordhausen, część jednak pozostała w obozach rozrzuconych w okolicach Walimia i Głuszycy. Dalszy los wielu z nich nie jest znany. W niektórych relacjach, chociaż trudno stwierdzić czy wiarygodnych, powtarza się obraz kolumn żywych szkieletów maszerujących w kwietniu 1945 roku pod eskortą esesmanów w głąb Gór Sowich. Więźniowie ci mieli przejść przez Walim i nigdy nie dotrzeć do stacji kolejowej w Jugowicach. Być może oprawcy z SS wprowadzili ich, na przykład pod pretekstem schronienia się przed nalotem bombowym, do któregoś z korytarzy podziemnego labiryntu. Wejścia doń można było wysadzić w powietrze i

zamaskować na tyle skutecznie, że - mimo poszukiwań - dotychczas nie natrafiono na ów masowy grób. Jeśli rzeczywiście on istnieje. W każdym razie jeden ze świadków zeznał, że tuż obok wejść do niektórych tuneli więźniowie wywiercili w lutym i marcu 1945 roku liczne otwory na ładunki wybuchowe, a inni zapamiętali, że wkrótce po wojnie z szybów wentylacyjnych ulatniał się mdły zapach rozkładających się ciał:

"Pewnej nocy pod koniec kwietnia w naszej wsi zjawily się regularne oddziały SS - wspominał ostatnie dni wojny w tej części Dolnego Śląska Jan A. - Żołnierze obstawili całą wieś. Otoczyli poszczególne zabudowania kierując w strona okien lufy pistoletów maszynowych. Gdy ktoś próbował wyjrzeć, chcąc sprawdzić co to za hałas, strzelali bez ostrzeżenia. Później usłyszeliśmy ciężkie samochody ciężarowe. Ryk ich motorów było słychać prawie dwie godziny. Skończyło się tuż przed świtem. A potem nastąpiła seria wybuchów. Wydawało mi się, że grzmiać całe góry, że Niemcy za pomocą dynamitu chcą je w ogóle poprzestawiać. Nad ranem SS wycofało się. Jakiś czas później byłem w pobliżu byłego obozu dla jeńców, gdzie znajdowały się wejścia do podziemi i wszystko było absolutnie zasypane. Nie słyszałem, aby ciężarówki wyjeżdżały z powrotem. Czyżby więc zostały w środku ? A jeśli tak, to co kryły?"

Nikt nie bronił kosztem wielu istnień ludzkich wydrążonych w Górach Sowich podziemnych korytarzy i komór. Nikt nie bronił Wałbrzycha, Walimia i w ogóle tego rejonu Dolnego Śląska. Tereny te nie leżały bowiem ani na głównym kierunku natarcia wojsk radzieckich, ani w pasie pozycji obronnych armii hitlerowskich. Gdy na gruzach Berlina powiewały na znak kapitulacji białe flagi, a żołnierze sojuszniczych armii świętowali zwycięstwo, do Wałbrzycha i okolicznych miejscowości wkraczały jednostki radzieckie wchodzące w skład I Frontu Ukraińskiego.

Trudno dzisiaj ustalić, czy radzieckie dowództwo wojskowe przed oficjalnym przekazaniem władzy na Dolnym Śląsku administracji polskiej interesowało się szczególnie tajemniczymi budowlami w Górach Sowich.

Wśród zieleniejących stoków górskich, u wejść do tuneli pozostały znaczne ilości porzuconej broni, amunicji i materiałów wybuchowych, sprzętu mechanicznego różnego przeznaczenia, narzędzi, stosy cegieł, siali zbrojeniowej i worków z cementem, zwoje kabli elektrycznych, liczne tablice rozdzielcze, skrzynie z bezpiecznikami i izolatorami, fragmenty wentylatorów i urządzenia o bliżej nieznanym przeznaczeniu. Zastano też wiele lokomotyw, w tym spaliniowych lokomotywek wąskotorowych i wagoników do przewozu urobku.

Gdy władzę na Dolnym Śląsku przejęli Polacy, komendanci niektórych posterunków MO polecali niekiedy wysadzić ładunkami wybuchowymi wejścia do tego czy innego korytarza podziemnego lub szybu wentylacyjnego, czego domagali się mieszkańcy, ponieważ ginęło im lam pasące się w pobliżu bydło, a dzieciaki czasami wracały do domów... uzbrojone po zęby w znalezione w podziemiach pistolety maszynowe i pancerny fausty. Zdarzały się też nieszczęśliwe

wypadki, Leon Z., repatriant z okolic Lwowa, który w 1946 roku osiedlił się w Górach Sowich, wspominał:

"Te tunele to była dla nas, chłopaków trzynasto-czternastoletnich nie lada gratka. Naczytaliśmy się książek i dawaj poszukiwać skarbów w podziemiach. Organizowaliśmy z kolegami wyprawy po skarby, gdyż wydawało nam się, iż takie lochy muszą je kryć. Pamiętam, kiedy pewnego razu wybraliśmy się większą grupą, zaginął jeden z nas. Nigdy z stamtąd nie wyszedł. Nie zauważyliśmy, jak w pewnej chwili odłączył się od grupy i zniknął. Pamiętam rozpacz jego matki. Pewnie to zadecydowało, iż nigdy więcej me podejmowaliśmy żadnych wypraw..."

Wśród okolicznej ludności o tajemniczych tunelach o podnóży gór krążyły już wtedy legendy. Ktoś zaklinał się, że osobiście znał leśniczego - autochtona, który widział, jak kolumna ciężarówek niemieckich z nieznanym ładunkiem wczesną wiosną 1945 roku wjechała do jednego z tuneli,

Wejście doń natychmiast wysadzono ładunkami wybuchowymi, zamaskowano nawiezioną ziemią i w tym miejscu zasadzono zagajnik. Leśniczego hitlerowcy zmusili do pomocy przy pracach maskujących, a gdy po wojnie chciał pokazać miejsce ukrycia kolumny ciężarówek, znaleziono go ponoć zamordowanego we własnej leśniczówce...

Inny przysięgał na wszystkie świętości, że podziemnymi korytarzami przemierzył niemal całe Góry Sowie wzdłuż i wszerz nie wychodząc ani razu na powierzchnię. Jeszcze inni oglądali na własne oczy - i to kilka lat po wojnie - suszącą się u wejść do podziemi bieliznę uzbrojonych mężczyzn, rozmawiających po niemiecku. Były to - ich zdaniem - bandy Werwolu, strzegące tajemnicy Gór Sowich, Nocami zaś słychać było strzały i stłumione odgłosy eksplozji.

Jak było naprawdę? Przez pierwszych kilka lat powojennych tereny - Dolnego Śląska, a zwłaszcza ziemi wałbrzyskiej, rzeczywiście nic należały do spokojnych. Jest wielce prawdopodobne, że podziemia Walimia mogły przez jakiś czas służyć bandom Werwolu za kryjówki. Czy tylko? .., Mogły one przecież otrzymać polecenie ukrycia lub zniszczenia czegoś, co nie powinno dostać się w ręce Polaków. Fantazje? Kto wie...

"Zdarzało się, że nocami słyszałam dalekie wybuchy, tłumione pomruki, a szyby w oknach wypadały. Wtedy po prostu bałam się duchów i płakałam ze strachu. Po prostu Niemcy, już po swojej klęsce, maskowali wejścia do wielu szybów, bądź rujnowali wnętrza lochów, chcąc być może odciąć dalszą drogę do jakichś szczególnie ważnych miejsc. Trudno powiedzieć, czy maskowali ślady zbrodni, czy kryli skarby".

To fragment relacji kobiety, która pierwsze lata powojenne na Dolnym Śląsku w okolicach Wałbrzycha oglądała oczami przestraszonego dziecka.

Gdy w połowie lat siedemdziesiątych zwiedzałem drobny zaledwie fragment podziemnego labiryntu Gór Sowich, zauważyłem, że niektóre korytarze były zasypane gruzem skalnym aż po sklepienie. Odniosłem wtedy wrażenie, że ktoś

celowo chciał zagrozić w ten sposób drogę intruzom. Co jest za tym gruzem? Przodek? A może coś, co zostało tam ukryte i miało czekać na lepsze dla Niemców czasy?...

*

Budowlami podziemnymi w Górach Sowich zainteresowano się w Polsce dopiero w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Zorganizowano wtedy - przy wydatnej pomocy wojska - kilka wypraw w głąb podziemi, ukazały się też pierwsze publikacje na ten temat w czasopiśmie o zasięgu krajowym. Pracownicy Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu przesłuchali nielicznych, niestety, świadków i przejrzyli również nieliczne dokumenty na ten temat. Z nich 10 wyłoniła się mglista wprawdzie i nie pozbawiona luk, ale wielce prawdopodobna wersja wydarzeń związanych z szeroko zakrojonymi pracami górniczymi i budowlanymi na terenie Gór Sowich. Poznano wówczas część straszliwej prawdy. W latach późniejszych ustalone wtedy fakty wielokrotnie uzupełniano o nowe lub nawet weryfikowano. Dotyczyło to zwłaszcza dat. Pierwotnie przyjęto, że budowa podziemi walimskich ruszyła o kilka miesięcy wcześniej niż było faktycznie.

Na początku lat siedemdziesiątych kilka wypraw w Góry Sowie zorganizował ówczesny podchorąży Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych imienia Stefana Czarnieckiego w Poznaniu - Jerzy Cera. Wspólnie z kolegami spenetrował on dostępne podziemia, zbadał obiekty naziemne, przejrzał dokumenty i publikacje na ten temat oraz spisał relacje nielicznych świadków. Plonem tych przedsięwzięć była niewielka broszurka "Tajemnic walimskich podziemi", wydana w roku 1974 nakładem Kola Naukowego Podchorążych WSO WP, w której Jerzy Cera przedstawił wyniki swoich zainteresowań Górami Sowimi.

Ustalił on między innymi, że teren budowy zajmował prawie 200 kilometrów kwadratowych, zaś jego centrum stanowił masyw Włodarza i Osówki (między Walimiami a Głuszycą). gdzie wykonano trzy kompleksy podziemne, a prawdopodobnie ma tam znajdować się jeszcze czwarty. Nie udało mu się jednak potwierdzić tego przypuszczenia. Ponadto jest jeszcze kompleks w Rzeczcze, małej wiosce koło Walimia, gdzie natrafiono na największą w Górach Sowich komorę - halę podziemną o długości prawie 100 metrów, szerokości 12 i wysokości około 15 metrów, a także kompleks w Jugowicach Górnych, który posiada najwięcej, bo aż pięć wejść do podziemi.

W pobliżu kompleksów podziemnych budowano również wiele obiektów naziemnych, których przeznaczenia nie udało się ustalić. W każdym razie stoją tam ruiny budowli przypominających wyglądem zewnętrznym: zbiorniki, magazyny, wartownie, siłownie, a nawet kasyno. Owe kompleksy oddalone są od siebie od jednego do czterech kilometrów. Charakterystyczną dlań cechą jest zlokalizowanie wejść do wszystkich podziemi na tej samej wysokości - 600 me-

trów nad poziomem morza. Między kompleksami istniały połączenia naziemne poprzez rozbudowany system dróg i linii kolejek wąskotorowych. Czy zaś istniały połączenia podziemne? Ewentualności takiej wykluczyć nie można, ponieważ sprzyjać temu mogła zarówno konfiguracja terenu, jak i niewielka między nimi odległość. W Górach Sowich jest jeszcze jeden podziemny system korytarzy, do którego prowadzą dwa wejścia. Znajduje się on w lesie, w pobliżu miejscowości Sokolec, kilka kilometrów na południe od Walimia. Owe korytarze wydrążone zostały w kruchej skale piaskowej; nie ma żadnych śladów trwalszej obudowy. W pobliżu znajdują się również naziemne budowle żelbetowe o nieznanym przeznaczeniu.

Przez długie lata powojenne zastanawiano się nad przeznaczeniem korytarzy i komór podziemnych oraz budowli znajdujących się na powierzchni Gór Sowich. Sprowadzeni fachowcy orzekli, że budowa została przerwana w takim stadium, iż trudno mówić o jej przeznaczeniu nie znając dokumentacji projektowej. Stąd też pojawiły się różne, nierzadko wykluczające się hipotezy. Mniej lub bardziej prawdopodobne.

Najbardziej rozpowszechniona wskazywała na przemysłowy charakter walimskich podziemi. Świadczyć o tym miała choćby ich lokalizacja – w centrum dolnośląskiego ośrodka górniczo-przemysłowego, między Wałbrzychem z jednej, a Nową Rudą z drugiej strony, w okolicy o dobrze rozwiniętej sieci dróg i szlaków kolejowych. Do Walimia na przykład prowadziła z Jugowic kilkukilometrowa linia kolejowa (obecnie nieczynna), kończąca się mniej więcej w środku osady. Ta jednotorowa linia była zelektryfikowana, o czym świadczą pozostałe do dzisiaj fundamenty po słupach sieci trakcyjnej.

Wskazując na przemysłowe przeznaczenie twierdzono, że w podziemiach Walimia zamierzano produkować albo rakiety V-2 lub też części do nich, albo samoloty, ta druga hipoteza oparta została na zainteresowaniu Górami Sowimi ze strony Sztabu Myśliwskiego (Jeagerstab), utworzonego w marcu 1944 roku w celu zintensyfikowania rozbudowy niemieckiego lotnictwa myśliwskiego. W niektórych, dość mglistych relacjach z 1944 roku pojawia się tajemnicza postać w mundurze pułkownika Luftwaffe, któremu podczas zwiedzania terenu budowy towarzyszyli, traktując go z najwyższym szacunkiem dygnitarze hitlerowscy z Wrocławia, nie wspominając już o członkach kierownictwa przedsięwzięcia "Olbrzym". Być może stąd właśnie zrodziła się hipoteza o budowie w okolicach Walimia podziemnych fabryk lotniczych lub broni raketowej. W każdym razie ów tajemniczy pułkownik Luftwaffe istniał naprawdę. Nie tylko przeżył wojnę, ale także napisał wspomnienia. Wróć do nich...

Po wojnie pojawiła się też hipoteza że w pobliżu Walimia budowano podziemną fabrykę broni masowej zagłady. Broni atomowej!

Natomiast wspomnienia lub zeznania składane przed władzami alianckimi przez różnych dygnitarzy hitlerowskich, na przykład Alberta Speera - ministra do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego III Rzeszy lub cytowanego już feldmarszałka Erharda Milcha wskazywały, że w Górach Sowich budowano

nową kwaterę główną dla Adolfa Hitlera. Feldmarszałek Milch napisał zresztą wyraźnie, że *"obiekt budowany pod Waldenburgiem (Wałbrzychem) na Śląsku"* miał być *"planowaną nową Kwaterą Główną Fuehrera"*.

Rzeczywiście, w pobliżu Wałbrzycha, w latach 1943-44 więźniowie z obozu Gross-Rosen drążyli obszerne tunele podziemne w skałach góry, na której stoi zabytkowy zamek w Książu (Fuerstenstein).

*

W pierwszych latach powojennych los rzucił Edmunda Kaczmarka na Dolny Śląsk, a ściślej - do Kamiennej Góry. Nie były to wtedy czasy spokojne. Na tym terenie grasowały bandy Werwolu, w miastach nad witrynami sklepów i oknami restauracji straszyły jeszcze napisy niemieckie, a i sporo Niemców mieszkało tutaj nadal, czekając na wysiedlenie do stref okupacyjnych.

- *Autochtoni mieszkając w Kamiennej Górze i okolicy* - wspominał E. Kaczmarek - *opowiadali, że koło Wałbrzycha znajduje się wspaniały zamek Książno* była to pierwsza powojenna nazwa polska zamku Książ). *Któregoś letniego dnia w roku 1946 wybrałem się z rodziną na wycieczkę do tego zamku. Zastaliśmy go opuszczonym, częściowo zdewastowanym, bez jakiegokolwiek opieki. Wkrótce pojechaliśmy tam ponownie i zwiedzając opuszczone zamczysko natknęliśmy się na Niemca w wieku około 50-60 lat, który dobrze mówił po polsku. Wyznał, że w jego żyłach płynie również krew polska, ponieważ jego matka była Polką. Zdobyliśmy chyba jego zaufanie, gdyż opowiedział nam, że przez około 35 lat był na zamku kimś w rodzaju lokaja czy służącego. Jego nazwisko wyleciało mi po tylu latach z pamięci,*

Był nim najprawdopodobniej niejaki Wawrzyczek - stajenny ostatniego właściciela zamku, księcia Hochberga von Pless. W pierwszych latach powojennych Wawrzyczek zatrudniony był na etacie dozorczy tego obiektu.

Kaczmarek usłyszał od niego opowieść o Hochbergach, którzy będąc właścicielami kopalń wałbrzyskich i wielkich majątków ziemskich prowadzili wystawne życie, goszcząc w Książu śmietankę arystokratyczną, nie tylko niemiecką. Później sprawdziłem te informacje. Zgadzało się co do joty. Zresztą na poparcie swych słów Kaczmarek przedstawił mi amatorskie zdjęcia rodzinne, wykonane w ówczesnym Książnie, jak i kupione tam widokówki, na których niemiecki napis „Fuerstenstein - Grund mit Schloss” zadrukowany był czymś w rodzaju ornamentu, zaś obok nadrukowano ówczesną nazwę polską - "Zamek Książno". Takie widokówki z ponemieckich zapasów sprzedawano wtedy w wielu miejscowościach na ziemiach odzyskanych.

Na osobiste polecenie Hitlera na początku roku 1941 Hochbergom skonfiskowano wszystkie dobra. Była to zemsta za to, że dwaj bracia: Jan Henryk i Aleksander Hochbergowie służyli w armiach alianckich. Pierwszy - w wojsku brytyjskim, drugi - w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, pełniąc nawet

przez jakiś czas obowiązki oficera ochrony premiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Naczelnego Wodza - generała Władysława Sikorskiego. Po konfiskacie zamek przekazano zrazu hitlerowskim służbom specjalnym, gdzie - według niektórych, chociaż niezbyt pewnych informacji - urządzono ośrodek szkoleniowy wywiadu. W tym też czasie częściowo zdewastowano wyposażenie sal i komnat, a także wywieziono w głąb Rzeszy bezcenny księgozbiór i niektóre dzieła sztuki.

W roku 1943 zamek Książ objęła we władanie Organizacja Todta. We współpracy z Głównym Urzędem Administracyjno-Gospodarczym SS rozpoczęto zakrojone na dużą skalę roboty górnicze i budowlane we wnętrzu góry, na której stoi zamek. Prace te, podczas których śmierć zbierała obfite żniwo, wykonywali więźniowie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. W Książu utworzono zresztą filię tego obozu, a z zamku wysiedlono wszystkich domowników. Pozostawiono tylko wspomnianego Wawrzyczka.

W pierwszych miesiącach 1945 roku roboty w Książu przerwano. Czerwo-noarmiści, którzy wkroczyli do zamku 9 lub 10 maja, zastali tylko leżące tu i ówdzie trupy w obozowych pasiakach, tajemnicze korytarze i tunele oraz ślady licznych, wykonywanych w pośpiechu robót maskujących.

- *Przewodnik, oprowadzający nas wtedy po zamku - powiedział E. Kaczmarek - był pewny tego, że budowano tutaj kwaterę główną dla Hitlera. Miała ona go i jego najbliższych współpracowników chronić nie tylko przed zwyczajnymi nalotami bombowymi, lecz przede wszystkim przed bronią atomową. Opiekunowi zamku Niemcy mówili dosłownie, że przygotowuje się tutaj schron przed bardzo potężną bronią. Na zamkowym dziedzińcu wykuty był w skale głęboki szyb, gdzie przewidywano montaż specjalnej windy do transportu samochodów. Planowano również doprowadzić do zamku linię kolejową, którą pociągi wjeżdżałyby do wnętrza góry.*

Grubo po wojnie szyb na dziedzińcu zasypano, nie zadano sobie też trudu dokładnego zbadania podziemi, w tym rozbicia murów, które Wawrzyczek wskazywał, że zostały wzniesione wczesną wiosną 1945 roku, a więc miały charakter maskujący. Tuż obok tych murów Niemcy zasadzili bluszcz, którego gałęzie pnąc się nań strzegą tajemnicy podwałbrzyskiego zamczyska.

Badacze tajemnic Gór Sowich od dawna zwracali uwagę na związki tejsze budowy z Książem. Wskazywali, że obszerne tunele wykute pod zamkiem jakoś dziwnie skierowane są na oddalone stąd w linii prostej o około 20 kilometrów Góry Sowie. Niektórzy twierdzili nawet, że łączą się one z labiryntem podziemnym w okolicach Wałbrzycha. Zakrawa to wręcz na fantazję, ale nie można wykluczyć, że planowano coś takiego, lecz nie zdążono już tych zamierzeń zrealizować.

*

A wiec koło Wałbrzycha miało powstać kolejne "wilcze legowisko" - Kwatera Główna Fuehrera. Wspomniałem już o tajemniczym pułkowniku

Luftwaffe, który - według niektórych relacji - miał wizytować budowę w Górach Sowich. Był nim Nicolaus von Below, adiutant lotniczy Hitlera.

Przeżył on wojnę i po wielu latach, już będąc na emeryturze, napisał obszernie wspomnienia z okresu służby u boku fuehrera. Jest tam taki oto zapis:

"...W planach, który w tych miesiącach wciąż krytykowaliśmy, była budowa wielkiej nowej Kwatery Głównej Fuehrera na Śląsku w rejonie Waldenburga, w skład której miał wchodzić także zamek Fuerstenstein w posiadłości książąt Plessów. Hitler bronił swego polecenia i kazał ją budować dalej przez więźniów z kacetów pod zarządem Speera. W ciągu roku dwa razy odwiedzałem ten obiekt i za każdym razem miałem nieprzeparte wrażenie, że ukończenia tej budowy już nie doczekam. Próbowałem zainspirować Speera, żeby wpłynął jakoś na Hitlera, aby ten kazał przerwać tę budowę, Speer nazwał to rzeczą niemożliwą. Rozrzucone prace biegły tymczasem dalej kiedy, kiedy każda tona betonu i stali była gwałtownie potrzebna w innych miejscach".

Wspomniane przez Belowa miesiące to rok 1944, zaś z kontekstu wynika, iż ten zapis umieścił on wśród wydarzeń końca zimy i początku wiosny tegoż roku.

Do tego wątku Below powrócił kilkadziesiąt stron dalej.

Po zamachu na życie Hitlera z 20 lipca 1944 roku, w którym adiutant fuehrera został lekko kontuzjowany, autor wspomnień przebywał wczesną jesienią tegoż roku na rekonwalescencji w śląskim uzdrowisku Salzbrunn (Szcawno Zdrój koło Wałbrzycha). Towarzyszyła mu żona, a państwa Below często odwiedzał zaprzyjaźniony z nimi szef dolnośląskiej organizacji NSDAP, gauleiter Karl Hanke.

".. Wykorzystywaliśmy te spotkania z nim także po to, aby zwiedzić okolicę. To było dla mnie szczególnie interesujące ze względu na budowanie na Śląsku Kwatery Głównej Fuehrera. Oprócz fundamentów nic tam jeszcze nie można było zobaczyć. Również w zamku Fuerstenstein nie było widać żadnego znaczącego postępu robót. Ja zawsze, uważałem tę budowę za całkiem już niepotrzebną. Te bezpośrednio oględziny przyznały mi rację".

We wspomnieniach Belowa nie pojawia się wprawdzie słowo Eulengebirge, czyli niemiecka nazwa Gór Sowich, to niemniej pisząc o budowie wielkiej kwatery Hitlera mógł on mieć na myśli tylko przedsięwzięcie "Olbrzym". Można przeto przyjąć, że zamek w Książu przewidywano na rezydencje fuehrera i jego najbliższych współpracowników, szykując dla nich bezpieczne pomieszczenia wykuwane w skałach góry, na której stoi to zamczysko. Natomiast wszystkie służby dowodzenia Wehrmachtu oraz pododdziały ochrony i zabezpieczenia zamierzano rozlokować w podziemnych schronach w okolicach Walimia. Na powierzchni zaś wznoszono jedynie niezbędne obiekty, jak wartownie, kasyna, stacje wentylatorów i tym podobne. Nieodparcie nasuwa się jeszcze jeden wniosek - podwałbrzyska kwatera Hitlera przygotowywana była na ewentualność wojny atomowej!

Nicolaus von Below postawił "kropkę nad i", wyjaśniając cel przedsięwzięcia "Olbrzym". Nadal jednak Góry Sowie strzegą swych tajemnic Czy w ostatnich tygodniach wojny w podziemnym labiryncie korytarzy i hal, z których wiele jest zatopionych lub przegrodzonych zawałami, nie ukryto dzieł sztuki zrabowanych w niemal całej podbitej przez Hitlera Europie?

Czy nie przywieziono tu złota z banków choćby wrocławskich tub precjozów z obozów zagłady, a należących do zamordowanych Żydów? A może jest to masowy grobowiec pewnej części tych więźniów, którzy budując kwaterę Hitlera zostali potem żywcem pogrzebani w korytarzach podziemnego labiryntu?...

*

Niedaleko dzisiejszego Kętrzyna na Mazurach pozostały współczesne piramidy po Kwaterze Głównej Fuehrera - ruiny bunkrów z betonu i stali. Od wczesnego lata 1941 do późnej jesieni 1944 roku w tej właśnie kwaterze, którą Hitler nazwał "Wilczym szańcem" (Die Wolfschanze), przebywał on wraz ze swą swiżtą najdłużej.

Podobną, aczkolwiek znacznie większą kwaterę budowano koło Wałbrzycha. Hitler miał się w niej schronić nie - jak w przypadku "Wilczego szańca" - za kilkumetrowej grubości warstwą betonu i stali, lecz wewnątrz gór, za osłoną twardych skał. I stąd miały wychodzić w świat kolejne rozkazy o sianiu śmierci i zniszczeń. Lecz to legowisko nie zdążono przygotować na przyjęcie wilka wraz ze sforą równie groźnych wilcząt. Tu pozostała tylko legenda złowieszczych gór.

SUDECKI SKARBIEC RZESZY

Dobiegał końca kwiecień 1945 roku. W leżącym u stóp Karkonoszy Hirschbergu (obecnie Jelenia Góra) życie toczyło się niemal tak, jakby na świecie nie było wojny. Tramwaje kursowały po ulicach, czynne były sklepy sprzedające na kartki najpotrzebniejsze do życia, a raczej wegetacji artykuły, na skwerach baraszkowały dzieci, I tylko patrząc na przechodniów można było się zorientować, że gdzieś obok toczy się wojna, że giną ludzie oraz wałą się w gruzy i płoną całe miasta. Na ulgach Hirschbergu widać bowiem było tylko wynędzniałych starców, zaniedbane kobiety i dzieci. Mężczyźni ginęli na frontach za fuhrera i ojczyznę lub cierpieli w niewoli.

W ten mimo wszystko pokojowy pejzaż centrum miasta wjechała kolumna wojskowych samochodów ciężarowych ze zdjętymi tablicami z numerami rejestracyjnymi, kierując się w stronę miejscowego oddziału Banku Rzeszy. Na samochodach były zamontowane karabiny maszynowe, a miny eskorty nie wróżyły niczego dobrego. Wprawdzie żołnierze byli w mundurach Wehrmachtu, to jednak mieszkańcy Hirschbergu podejrzewali, iż są to przebrani esesmani. Czy tak było naprawdę, trudno ustalić. W każdym razie żołnierzami dowodzili oficerowie SS.

Ciężarówki półkolem zatrzymały się przed gmachem banku, dokąd weszli oficerowie. Mieszkający w pobliżu banku starszy mężczyzna usłyszał od swych znajomych zatrudnionych w tej instytucji, że dowódca konwoju, legitymując się jakimiś dokumentami, zażądał wydania kilku sejfów. Ponoć ośmiu sejfów. W większości z nich miały znajdować się zdeponowane w banku kosztowności rodziny Schaffgotschów, którzy od wieków rządili Cieplicami i innymi miejscowościami dolnośląskimi. Już bowiem w XIV wieku dworzanie księcia Bolka I świdnickiego, niejaki Gotscho-Schoff, otrzymał prawo dysponowania ciepłymi źródłami, które nie tylko na Śląsku słynęły ze swych właściwości leczniczych. A w Cieplicach leczyli się między innymi żona Jana III Sobieskiego - królowa Marysieńka oraz Hugo Kołłątaj, by nie zapomnieć o tysiącach innych, zamożnych Polakach, którzy od wieków ściągali do ciepłych wód u stóp Karkonoszy.

Rodzina Schaffgotschów zaliczała się do najbogatszych na Śląsku, ale oficerów z konwoju interesowały nie tylko ich kosztowności. Zażądali również wydania dwóch sejfów, w których najprawdopodobniej znajdowały się zaszyfrowane dokumenty z wynikami badań naukowych, być może część plonu prac uczonych niemieckich nad rozszczepieniem jądra uranu.

Odpędzając nielicznych gapiów żołnierze załadowali ciężkie sejfy na ciężarówki. Starannie zasnurowano plandeki. Zmierzchało, gdy kolumna samochodów ruszyła w kierunku zamglonych szczytów Karkonoszy...

Gdy na początku maja 1945 roku kończyła się bitwa o Berlin, a III Rzesza dogorywała pod potężnymi ciosami wojsk sprzymierzonych, rozpoczynała się bitwa o Sudety, która tak naprawdę trwa do dziś. Dlatego też nazwy tej bitwy i jej opisów nie znajdzie się w podręcznikach historii drugiej wojny światowej, zaś w niektórych tylko pracach naukowych i opracowaniach popularnonaukowych wspomina się jakby mimochodem, na ogół jednym lub co najwyżej w kilku zdaniach, o pewnych przedsięwzięciach Niemców, faktycznie inaugurujących bitwę o Sudety.

Jej główna, decydująca o dotychczasowym zwycięstwie Niemców faza rozegrała się wtedy, gdy na frontach drugiej wojny światowej w Europie umilkły strzały. O przebiegu tej bitwy niewiele da się dziś powiedzieć i napisać czegoś pewnego. Pewnego w stu procentach. Sporo jest za to domysłów, plotek i legend. Ktoś gdzieś coś widział, a częściej tylko słyszał o tym czy owym. Sporo jest także trudnych do sprawdzenia i zweryfikowania szczątkowych informacji, a i czas zrobił swoje. Przyroda zatarła wszelkie ślady z lat 1944-45. Zmarli ludzie, którzy wiedzieli lub mogli wiedzieć rzeczywiście coś konkretnego, coś, co pozwoliłoby przygotować kontratak w bitwie o Sudety.

Czy tylko do mitów można spokojnie zaliczyć uporczywie powtarzające się pogłoski, że wielu z tych ludzi nie zmarło śmiercią naturalną. Że musieli umrzeć, ponieważ wiedzieli zbyt wiele. Jeśli tak było naprawdę, a niektórych przypadków nagiej lub tragicznej śmierci tych osób nigdy nie wyjaśniono, to byli to polegli w bitwie o Sudety.

Pewne jest tylko jedno. Otóż podczas kilku ostatnich miesięcy drugiej wojny światowej właśnie w Sudetach, od Kotliny Kłodzkiej po Góry Izerskie, ukryto skarby o ogromnej, wręcz chyba bająńskiej wartości. Złoto i srebro w sztabach i sztabkach, drogocenne kamienie i biżuterię, zastawy stołowe z miśnieńskiej porcelany, dzieła sztuki. Tu też ukryto wyniki badań uczonych niemieckich, prawdopodobnie nad bronią masowego rażenia, a zapewne również aparaturę z hitlerowskich laboratoriów oraz zapasy tak zwanej ciężkiej wody i rudy uranu.

Pewne jest także i to, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w ostatnich tygodniach wojny zniknęły z pejzażu Sudetów fabryki podziemne pracujące na rzecz gospodarki wojennej III Rzeszy. Były, a dziś ich nic ma. W każdym razie nic widać wejść do nich, bo gdzieś wewnątrz gór pozostały wydrążone w skałach sztolnie, zżerane przez korozję maszyny i urządzenia, na pewno również wyroby gotowe lub półfabrykaty, których nie zdążono już użyć w działaniach wojennych lub wyekspediować do innych, często także podziemnych zakładów, gdzie montowano różnego rodzaju broń i sprzęt wojskowy.

Te do dzisiaj zamaskowane fabryki podziemne są jednocześnie wielkimi cmentarzami. Leżą 6tam szkielety jeńców wojennych, więźniów obozów koncentracyjnych i zapewne również robotników przymusowych, których Niemcy wykorzystywali jako niewolniczą siłę roboczą. Zbyt dużo widzieli i wiedzieli, by mogli przeżyć wojnę.

A jednak wielu przeżyło. Albo w ostatniej chwili zadrżała ręka oprawcy, albo odpowiednie rozkazy nie dotarły na czas, albo też ewakuowano robotników - niewolników w głąb Niemiec licząc, że być może w innym miejscu przydadzą się jeszcze Rzeszy. Naprawdę nielicznym udało się uciec. Ale wszyscy oni nie potrafili wskazać, gdzie znajdują się wejścia do podziemnych fabryk. Wszak nie wieziono ich tutaj na wakacje czy wycieczkę. Nie było przewodników, którzy objaśnialiby uroki okolicy. Pod góry kryjące w swych wnętrzach zakłady zbrojeniowe jechali w osłoniętych ciężarówkach, a do podziemi wprowadzano ich nierzadko z opaskami na oczach. Tak na wszelki wypadek, bo z góry zakładano, że już nigdy nie ujrzą oni światła dziennego. W podziemnych labiryntach mieli pracować, spać i umierać z głodu, chorób lub wycieńczenia.

Opłaciła się ta przezorność. Gdy w Berlinie zdecydowano, że fabryki podziemne mają służyć za miejsca ukrycia najcenniejszych i najwartościowszych dla Niemców przedmiotów, nawet ci, którzy cudem przeżyli, nie trafią już nigdy do miejsc swej katorżniczej pracy. Chociaż wielu z nich wracało tu w latach powojennych, to jednak bezradnie kręcili się po okolicy...

*

Jesienią 1971 roku Telewizja Polska w popularnym wówczas cyklu "Znaki zapytania" wyświetliła film "Tajemnica Bursztynowej Komnaty". Po emisji do telewizji nadeszło wiele listów. Był wśród nich i ten:

"W miejscowości, w której poprzednio mieszkałem, krąży legenda o bogactwach zakopanych przez Niemców. Prawdopodobnie w czasie wojny wojska niemieckie przywoziły samochodami kufry, które umieszczali w bunkrze, w górze obok cegielni. Początkowo nie traktowałem tej pogłoski poważnie, ale zaintrygowało mnie zachowanie Niemców, którzy kilkakrotnie nawiedzali ten teren. W 1968 roku przyjechało małżeństwo, które rzekomo mieszkało w budynku przeze mnie zajmowanym. W czasie dwóch dni pobytu Niemcy bardzo interesowali się terenem obok cegielni, a szczególnie górą. Udawaliśmy, że nie wiemy, o co im chodzi, lecz obserwowaliśmy ich zachowanie. Na drugi rok Niemcy ponownie przyjechali, przywoząc ze sobą swoich bliskich krewnych. Wizyty ich powtarzały się przez następne dwa lata, za każdym razem odpoczywali na górze i obserwowali teren. Od tego czasu zacząłem bliżej interesować się tymi rzekomo zakopanymi skarbami. Z rozmów z rodziną, która pierwsza osiedliła się w tej miejscowości, dowiedziałem się, że u podnóża góry, którą opisuję, znajdował się tunel, a w nim lory, które prowadziły w głąb góry. Obywatel ten chciał zbadać, dokąd ten tunel prowadzi, jednak doszedł do miejsca, gdzie woda sięgała po szyję i zawrócił. Później tunel został zasypyany, nie wiadomo przez kogo i kiedy. Może przez Niemców, którzy pracowali w cegielni po wojnie?"

Jako stary ceramik uważam, że wyżej wymieniony tunel nie był potrzebny do wydobywania gliny, lecz do innych celów, ponieważ pod górą znajduje się piasek i żwir, co sprawdziłem osobiście, a gliny jest tam pod dostatkiem do 20

metrów. W 1970 roku znowu przyjechali Niemcy, inni, starsza kobieta i mężczyzna w wieku 40 lat. Przyszli do mieszkania i posiedzieli, że mieszkali tu przed wojną. Chcieli zwiedzić teren. Żona zawiadomiła mnie o ich przybyciu. Po pewnym czasie zauważyłem mężczyznę, który kierował swe kroki w kierunku góry. Obejrzał się dokładnie i zrobił zdjęcie, po pewnym czasie wrócił, zrobił zdjęcie mieszkania i pojechali. W dwie godziny później zjawił się ponownie z prośbą, by mu towarzyszyć w zwiedzaniu terenu. On prowadził, poszedł na górę, obejrzał ją i pożegnał się, mówiąc, że wyjeżdża.."

Zacytowałem niemal w całości list Mariana R. z Legnicy, opublikowany w książce Ryszarda Badowskiego "Tajemnica Bursztynowej Komnaty", ponieważ zawarte są w nim wszystkie elementy pojawiające się w tego typu opowieściach. A więc Dolny Śląsk, ukryte skarby. Jakaś trudna dziś do zlokalizowania kopalnia lub fabryka wykuta w skałach pobliskiej góry, no i Niemcy przyjeżdżający tu, by rzekomo odwiedzić swe rodzinne strony, a faktycznie interesujący się okolicą: górami, dolinami, starymi sztolniami...

Takich opowieści słyszałem dziesiątki. Po kraju krążą ich zapewne tysiące. Nie da się ich wszystkich zweryfikować, ale przynajmniej niektóre warto są sprawdzenia. Nic można bowiem z góry zakładać, że wszystkie te opowieści są legendami. Wszak nawet w plotce zawarta Jest jakaś część prawdy. Nasuwa się tylko pytanie, kto ma to sprawdzić? I jak?

Tego typu opowieści krążą głównie po Dolnym Śląsku i dotyczą leżących tu miejscowości. Rzadziej natomiast można usłyszeć podobne opowieści w innych regionach naszych ziem odzyskanych: częściej o Warmii i Mazurach, sporadycznie o Pomorzu czy tych częściach Górnego Śląska i Brandenburgii, które po wojnie znalazły się w granicach Rzeczypospolitej. I jest w tym też pewna prawdziwość, pośrednio świadcząca, iż część tych opowieści nie jest zmyślona. Wszak właśnie Dolny Śląsk, a przede wszystkim ta jego część leżąca w Sudetach, została oszczędzona przez wojnę. Glatz, Waldenburg, Hirschberg (Kłodzko, Wałbrzych, Jelenia Góra) i ziemie leżące wokół tych miast nie były ani bombardowane przez lotnictwo sprzymierzonych, ani jednostki Armii Czerwonej nie toczyły tu walk z wojskami hitlerowskimi. Rosjanie wkroczyli na te tereny w końcu pierwszej dekady maja 1945 roku, a więc w dniach zakończenia drugiej wojny światowej w Europie. Niemcy mieli zatem sporo czasu, by starannie ukryć tu i dobrze zamaskować to, co uważali za cenne. To, co nie powinno wpaść w ręce wroga. I do tego celu wykorzystali lochy zamków, gęstą sieć podziemnych sztolni starych wyrobisk i kopalń, a także nowych budowli podziemnych, drażonych w skałach gór z myślą o przeniesieniu tu fabryk przemysłu zbrojeniowego.

Gdy w styczniu 1945 roku ruszyła wielka ofensywa na froncie wschodnim, w realistycznie myślących kręgach kierowniczych III Rzeszy zdano sobie sprawę, że totalna klęska Niemiec jest już tylko kwestią najbliższego czasu. I czas ten wykorzystano na ukrycie wielu dzieł sztuki, biżuterii, złota, archiwów.

Ukrywano nawet bezwartościową makulaturę, bo jakże inaczej nazwać znalezione przed laty w rejonie Sosnówki archiwum niemieckich nasłuchów radiowych. Znalaziono biuletyny z nasłuchami radia BBC (w tym także w języku polskim), radia Moskwa i Tokio z lat 1942-44.

Ukrywano to wszystko właśnie w niemieckiej wtedy części Sudetów, które to ziemie zostały oszczędzone przez działania wojenne, a niemiecka ludność miejscowa, nawet gdyby coś podejrzewała, gwarantowała zachowanie tajemnicy. Niemcy wiedzieli też, że po klęsce czeka ich znaczne okrojenie ziem wschodnich i okupacja przez wojska sprzymierzonych. Ale wiedzieli również, że okupacja nie będzie trwać wiecznie. Że kiedyś będzie można spokojnie sięgnąć po ukryte skarby.

Niemcy nie przewidzieli tylko jednego. Że sudecki skarbiec Rzeszy na mocy postanowień konferencji poczdamskiej Wielkiej Trójki zostanie przekazany Polsce. Niemcy liczyli, że zgodnie z zapowiedziami polityków państw koalicji antyhitlerowskiej granica z Polską wytyczona zostanie na Odrze i Nysie, którą kojarzono tylko z Kłodzką, Nikt w najśmielszych nawet wyobrażeniach nie sądził, że Polsce przypadną ziemie aż do Nysy Łużyckiej. Ukryte skarby pozostały zatem poza granicami Niemiec.

Po kilku latach skończyła się formalna okupacja Niemiec, w końcu 1990 roku doszło do zjednoczenia obu państw niemieckich, które to zjednoczenie faktycznie zakończyło powojenne prowizorium w Europie środkowej, a północna część Sudetów nadal należy do Polski. I zdecydowana większość Niemców wierzy w to, że przebieg linii granicznej nie ulegnie już zmianie. Pogodzić się przeto z utratą skarbów czy wtajemniczyć w sprawę Polaków na zasadzie - dzielimy się pół na pół? ...

Na przeszkodzie tego rozwiązania tajemnic sudeckiego skarbcza Rzeszy stoją obowiązujące w Polsce przepisy prawne. Niektórzy Niemcy szukają zatem trzeciego rozwiązania. Jako turyści przyjeżdżają sprawdzać, czy ukryte gdzieś w górach schowki są nadal bezpieczne i gdzieś tam próbują na własną rękę odkopywać skarby. Na ogół dotyczy to jakichś rodzinnych bogactw, ukrytych indywidualnie na krótko przed wejściem wojsk Armii Czerwonej. Lub nawet później - bezpośrednio przed wysiedleniem.

Natomiast - jak dotychczas - nie udało się dotrzeć do zdecydowanej większości miejsc ukrycia najcenniejszych przedmiotów i dokumentów, zorganizowanych w Sudetach w ostatnich miesiącach, a nawet tygodniach wojny przez aparat państwowy III Rzeszy, głównie przez SS.

*

Albert Speer, ulubieniec fuehrera oraz minister do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego III Rzeszy, we "Wspomnieniach" pisze, że *"aby uniknąć skutków nalotów lotniczych, od miesięcy nalegał Hitler na przeniesienie przemysłu do pomieszczeń podziemnych oraz wielkich schronów"*. Speer sceptycznie

potraktował to polecenie Hitlera, chociaż kilkadziesiąt stron dalej pisze, że 26 czerwca 1944 roku w kawiarni hotelu Platterhof w Obersalzbergu zgromadziło się około stu przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego, z których wielu - jak czytamy we "Wspomnieniach" - *"poczuło się zagrożonymi niebezpieczeństwem przejścia po wojnie pod kontrolę państwa dotyczyło to zwłaszcza licznych przeniesionych do podziemi zakładów, które urządziło i sfinansowało państwo, ale w których personel kierowniczy, fachowców, a także maszyny zapewniały poszczególne firmy"*. Speer zapomniał jednak napisać, że również państwo zapewniło niewolniczą siłę roboczą, ale darujemy sobie jego rozważania na temat stosunków własnościowych. Interesuje nas tu ten fragment, który mówi o licznych zakładach przeniesionych do podziemi. Tymczasem po wojnie udało się natrafić tylko na nieliczne zakłady podziemne- Co stało się z resztą?

Można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że więcej niż połowę (może 60, może nawet 80 procent) fabryk podziemnych udało się w ostatnich tygodniach wojny ukryć poprzez wysadzenie w powietrze wejść do nich. Sztuczne zawały zostały następnie zamaskowane, a reszty dokonała przyroda. Ulewne deszcze niosły z gór kamienic i piasek, upodabiając teren zamaskowanych fabryk z okolicą.

Z dużym też prawdopodobieństwem można zaryzykować tezę, że przynajmniej 25 procent fabryk podziemnych III Rzeszy zlokalizowano na Dolnym Śląsku, głównie w okolicach Wałbrzycha i Jeleniej Góry, chociaż interesujące pod tym względem, lecz mało zbadane są okolice Złotoryi (Goldberg) oraz Lubiąża (Leubus) nad Odrą.

Tajemnicom Lubiąża poświęcam oddzielny rozdział, a teraz spróbujemy odszukać śladów innego transportu, a raczej transportów, które również na krótko przed wkroczeniem jednostek Armii Czerwonej na Ziemię Dolnośląską zniknęły w okolicznościach nieco podobnych do tych, w jakich wywieziono sejfy z banku jeleniogórskiego.

*

Na Białym Jarze u podnóża Śnieżki w Karkonoszach wskazuje się jako na miejsce ukrycia przynajmniej części tak zwanego złota Wrocławia. Na przełomie lat 1944 i 1945 ze stolicy Dolnego Śląska wywieziono kilka ton złota oraz waluty, papiery wartościowe, kosztowności i dzieła sztuki stanowiące własność wrocławskich banków lub będące depozytami sklepów jubilerskich i co zamożniejszych mieszkańców Breslau. Transporty, którymi dowodził oficer SS (w stopniu majora, jak twierdzą Anna Sukmanowska i Stanisław Stolarczyk w książce "Tańcząc na wulkanie" lub pułkownika, jak pisze Włodzimierz Antkowiak w pracy "Nie odkryte skarby") prawdopodobnie o nazwisku Egon Ollenhauer, zniknęły bez śladu. Ale przecież nie rozplynęły się one w powietrzu. Musiały zostać gdzieś ukryte, i to ukryte na tyle sprytnie, że złota Wrocławia nie odnaleziono do dziś.

Na Biały Jar a zwłaszcza na dwa znajdujące się tam szyby "Gustaw" i "Heinrich" po starych kopalniach srebra i ołowiu wskazał jeden z zastępców Ollenhauera, zatrudniony wówczas w Prezydium Policji w Breslau kapitan Herbert Klose, którego autorzy książki "Tańcząc na wulkanie" ukryli pod pseudonimem Otto Stein. Przeżył on wojnę, przed której końcem zdążył się jeszcze ożenić, a polem dziwnym trafem uniknął wysiedlenia z Dolnego Śląska do którejś ze stref okupacyjnych Niemiec. W końcu stycznia 1953 roku został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i był wielokrotnie przesłuchiwany w siedzibie wrocławskiego WUBP. Zapewne leż był torturowany. Mając do wyboru śmierć w męczarniach lub zdradzenie oprawcom przynajmniej części tajemnicy złota Wrocławia, Klose zaczął mówić, I powiedział przynajmniej tyle, by zadowolić tym przesłuchujących. Zresztą niespełna dwadzieścia lat później Klose - go "przesłuchali" również Adam Wielowiejski i Dionizy Sidorski, na początku lat siedemdziesiątych realizujący w ośrodku wrocławskim Telewizji Polskiej film dokumentalny "Kim jesteś, kapitanie?", którego emisję na antenie wstrzymała cenzura. W obu przypadkach Klose sugerował, że złoto Wrocławia zostało ukryte gdzieś w Karkonoszach, zapewne w okolicach Białego Jaru.

Dlaczego zapewne? Otóż Klose zeznał, że podczas ostatnich przygotowań do akcji ukrywania złota Wrocławia, nad Małym Stawem, a więc w pobliżu Białego Jaru, spadł z konia i stracił przytomność...

Klose wskazał UB-owcom jeszcze inne miejsce, które w połowie listopada 1944 roku spenetrował wraz z Ollenhauerem. a mianowicie na Wielisławkę, strome wzgórze leżące na prawym brzegu Kaczawy, na Pogórzu Kaczawskim, koło wsi Sędziszowa. Na szczycie wzgórza znajdują się resztki ruin niewielkiego średniowiecznego zamku rycerskiego, zaś wewnątrz Wielisławki liczne sztolnie, które pozostawili górnicy wydobywający tu przez kilka stuleci, aż do XVIII wieku, złoto. Sztolnie te są dzisiaj niedostępne, chociaż przed wojną polecane były w niemieckich przewodnikach jako atrakcje turystyczne.

Czy jeden z transportów z przygotowującego się do obrony przed Armią Czerwoną Wrocławia trafił w okolice Sędziszowej? ...

Ollenhauer - według zeznań Klosego - zwrócił również uwagę na "śląski Olimp", czyli na leżącą koło Sobótki (Zobten) Ślężę, legendarną wręcz górę bogów pierwszych plemion zamieszkujących te tereny, przede wszystkim zaś ośrodek kultu Słońca. Ów oficer SS ponoć jednak odstąpił od swego pierwotnego zamiaru ukrycia tu części złota Wrocławia, gdy okazało się, że szczyt Ślęzy i jej stoki od mniej więcej połowy wysokości góry zajęte są przez jednostkę Wehrmachtu.

W każdym razie mieszkańcy okolicznych miejscowości byli wkrótce po wojnie święcie przekonani, że w masywie Ślęzy ukryto jednak jakieś skarby. Na przykład dzieła sztuki, archiwalne zbiory muzealne, a być może tylko jakieś części uzbrojenia Wehrmachtu. Ale jednocześnie nie można całkowicie wyklu-

czyć, że gdy Armia Czerwona zaczęła się zbliżać do ówczesnego Breslau, na Ślązę mógł zostać skierowany jeden z ostatnich transportów zioła Wrocławia.

Dodajmy jeszcze, że przeprowadzone w 1980 roku badania elektrooporowe wykazały istnienie w kilku miejscach góry wyraźnych anomalii geofizycznych, natomiast nieco wcześniej, bo w połowie lat siedemdziesiątych Ślązę zainteresowali się funkcjonariusze służb specjalnych NRD, osławionej "Stasi" Czego tu szukali ?..

*

Miejscowości dolnośląskich, o których krążą legendy o zamaskowanych fabrykach podziemnych, tunelach, sztolniach i wyrobiskach starych kopalń oraz rzekomo ukrytych tam skarbach, jest wiele.

Oto na przykład Grodna koło Podgórzyna w Jeleniogórskim, liczące nieco ponad 500 metrów wysokości wzgórze, na którego szczycie stoi niewielki zamek z XIX wieku. Autochtonka Gertruda Chomiak twierdziła, że przed wojną pod Grodna istniał tunel, którym można było przejść z Sosnówki do Staniszowa, dwóch małych sudeckich wsi. Po tunelu tym nie ma dziś śladu. Jednak ostatni niemiecki gajowy z leśnictwa w Staniszowie opowiadał swemu polskiemu koledze, że wczesną wiosną 1945 roku żołnierze z jednostki Waffen SS otoczyli wzgórze, przepuszczając tylko załadowane ciężarówki. Po kilku godzinach samochody wracały puste, W kwietniu tamtego roku mieszkańcy okolicznych wsi słyszeli potężny wybuch w rejonie wzgórza...

Żołnierze z Waffen SS pojawiają się także we wspomnieniach pewnej Niemki z Waldenburga (Wałbrzycha). W kwietniu 1945 roku znalazła się ona w gronie członków Hitlerjugend, którzy otrzymali zadanie pilnowania mieszkańców wałbrzyskiego budynku, by nie wyglądali przez okna podczas jakiejś nocnej i w dodatku tajnej akcji. *"Kiedy mój kolega i lokatorzy zasnęli, wyjrzałam ukradkiem przez okno i zobaczyłam dużą kolumnę samochodów wojskowych. Zdejmowano z nich duże skrzynie i wnoszono do otworu wydrążonego we wzgórzu. Nosili te skrzynie mężczyźni z Waffen SS. Jestem tego pewna, bo mieli na sobie mundury. Każdą skrzynię niosło czterech mężczyzn, więc musiały być bardzo ciężkie. Przez okno wybadałam tylko moment, gdyż się bałam, ale cała akcja ukrywania tajemniczych skrzyń trwała całą noc..."*

Nie da się dzisiaj stwierdzić, czy jest to relacja prawdziwa. Wydaje się jednak, że jest wielce prawdopodobna. Wszak wiosną 1945 roku władze hitlerowskie sięgały do rezerw kadrowych organizacji Hitlerjugend, nastolatków wysyłając na linię frontu, gdzie ginęli "za fuehrera i ojczyznę", więc równie dobrze mogły zaangażować młodzież do tej właśnie tajemnicą okrytej akcji.

Po formalnym przejęciu władzy w Wałbrzychu z rąk wojskowych radzieckich administracja polska miała sporo kłopotów z odpowiednim utrzymaniem tego dużego miasta wraz z całym, jakże cennym dla gospodarki zniszczonej Polski przemysłem oraz bogatą infrastrukturą komunalną, by jeszcze interesować

się pogłoskami na temat akcji ukrywania tu przez Niemców różnych i - jak można mniemać - cennych przedmiotów. Z czysto praktycznego punktu widzenia sprawdzenie tych pogłosek byłoby wówczas najłatwiejsze. Czas i przyroda nie zatarły jeszcze większości śladów, a żołnierze frontowi (w tym także radzieccy) gotowi byli służyć pomocą, na przykład saperską. Na miejscu byli też Niemcy, którzy za żywność lub papierosy udzieliliby zapewne wielu cennych wskazówek.

Niestety, z tej niepowtarzalnej szansy wtedy nie skorzystano. Lecz niejako na usprawiedliwienie ówczesnych władz polskich trzeba dodać, że pogłoski o ukrytych skarbach zaczęły krążyć nieco później, a Niemcy solidarnie na ogół milczeli. Wszak liczyli, nawet po konferencji poczdamskiej, że to miasto wcześniej czy później wróci do Niemiec, a wtedy będzie można bez przeszkód sięgnąć po to, co tu i w okolicach ukryto. Cytowana relacja młodej Niemki jest raczej wyjątkiem od reguły. Niemcy do dzisiaj milczą o tym, co i gdzie władze hitlerowskie w ostatnich miesiącach wojny ukrywały na Dolnym Śląsku. Temat ten stanowi swoiste tabu w historiografii i publicystyce historycznej RFN, chociaż można domniemywać, że w archiwach Republiki Federalnej pozostały pilnie strzeżone dokumenty lub relacje, zeznania i plany, w tym także odręczne szkice.

Próbowałem odszukać miejsce, o którym wspominała młoda Niemka. Ma ono ponoć znajdować się w rejonie dzisiejszej ulicy Wrocławskiej. Tę bardzo długą ulicę przemierzyłem piechotą dwukrotnie. Bez rezultatu. Większe szansę na sukces rokuje poszukiwanie w szeroko pojętym rejonie ulicy Wrocławskiej aniżeli na niej, która z wszystkich ulic Wałbrzycha bodaj najmniej nadaje się do ukrycia czegokolwiek. Wytypowałem zatem miejsce, które znajduje się niedaleko zbiegu ulic Armii Krajowej i Wrocławskiej, około 150 - 200 metrów od lej przelotowej arterii Wałbrzycha, w pobliżu ulicy Pocztovej. W każdym razie zamaskowana sztolnia musi znajdować się w masywie Ptasiej Kopy, która góruje nad północno-wschodnią częścią miasta.

Między Górami Sowimi a Górami Bardzkimi w Wałbrzyskiem leży Srebrna Góra (Silberberg). Ongiś miasto, obecnie malowniczo położona miejscowość licznie odwiedzana przez turystów. Tych interesujących się budowlami militarnymi ściągają tu dobrze zachowane forty wzniesione na strzegących Przełęczy Srebrnej wzgórzach: Fortecznych i Ostrogu. Centralny fort zwany Donjonem wybudowano w latach 1763-66, a nieco później zachodni Fort Rogowy wraz z wiodącą doń ukrytą drogą. Jednocześnie silny fort powstał na wzgórzu Ostróg, tworząc razem potężną twierdzę z licznymi korytarzami podziemnymi, lochami i głębokimi studniami.

"Pod koniec wojny, wiosną 1945 roku - wspominał Jerzy P. z pobliskich Ząbkowic Śląskich - do Srebrnej Góry pojechał transport samochodów, składający się z około 300 maszyn. Transport ten, jak się dowiedziałem od kolegi ojca zamieszkałego w Srebrnej Górze, zatrzymał się w fortach położonych około ki-

lometra za miastem. Znajduje się tam wiele piwnic, do których po wojnie nikt nie zaglądał."

W 1974 roku forty srebrnogórskie próbował spenetrować dziennikarz "Życia Literackiego", Jacek Lubart-Krzysica. Dowiedział się między innymi, że twierdza posiada siedem podziemnych kondygnacji. Po wojnie dotarto tylko do trzech najwyższych. Co jest na niżej położonych? Lubart-Krzysica odniósł też wrażenie, że wówczas, prawie 30 lat po wojnie, ktoś nadal dyskretnie strzegł tajemnic fortów srebrnogórskich.

W niedalekim Stolcu, dwa kilometry na wschód od Ząbkowic Śląskich, transporty wojskowe miały ponoć zostać schowane pod koniec wojny we wnętrzu opuszczonej kopalni srebra lub też wprowadzone do wnętrza pobliskiej góry przez boczny wjazd w zboczu, który został zamaskowany poprzez wysadzenie w powietrze,

Burzliwe były losy Kłodzka w minionym tysiącleciu. Gród ten bowiem często przechodził z rąk do rąk, wchodząc to w skład państwa polskiego, to czeskiego, potem Austrii, a wreszcie Prus i Rzeszy Niemieckiej. Po drugiej wojnie światowej miasto wraz z całą, niezwykle malowniczą Kotliną Kłodzką wróciły do Polski, która już w czerwcu 1945 roku musiała je bronić przed wojskami czechosłowackimi. Zająły one okolice Kudowy Zdroju i Międzylesia oraz zaczęły posuwać się w kierunku Kłodzka.

W tym samym czasie w Nachodzie powstał *Narodni vybor pro Uzemi Kladsko* czyli załążek władzy czeskiej dla tego terenu. Natychmiastowa interwencja strony polskiej zapobiegła powstaniu faktów dokonanych, a sprawę przesądziła Wielka Trójka na konferencji w Poczdamie, Przywódcy Stanów Zjednoczonych Ameryki, Związku Radzieckiego i Wielkiej Brytanii postanowili ziemie Rzeszy Niemieckiej na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej według granic z 31 grudnia 1937 roku włączyć do Polski, a północną część byłych Prus Wschodnich do ZSRR. O Czechosłowacji w Poczdamie nie było mowy...

Kłodzko przypadło więc Polsce, a rodzimi poszukiwacze skarbów zaczęli coraz częściej zwracać uwagę na starą, pamiętającą jeszcze czasy Austriaków, a polem rozbudowaną przez Prusaków potężną twierdzę, która góruje nad tym pełnym zabytków miastem i okolicą. Podczas wojny w jej kazamatach hitlerowcy więzili jeńców różnych narodowości, a gdy front wschodni zaczął się zbliżać do granic III Rzeszy, do twierdzy kłodzkiej przeniesiono z Łodzi zakłady zbrojeniowe AEG, produkujące między innymi części do okrętów podwodnych i pocisków raketowych z serii V. Zatrudniały one setki robotników przymusowych, zwłaszcza polskich.

Z nich to między innymi rekrutowali się świadkowie, którzy potem opowiadali, że późną jesienią 1944 roku Niemcy zwozili do twierdzy kłodzkiej wiele skrzyń z nieznaną zawartością. Miały się w nich ponoć znajdować kosztowności i dzieła sztuki, głównie z muzeów wrocławskich. Z relacji świadków wynika, że komory z tymi skrzyniami i fragmenty prowadzących doń korytarzy zamuroowano, odpowiednio upodobniając świeżo postawione ściany do wyglądu

sąsiednich. Ponadto jedno z wejść do części lochów twierdzy zawałono wielotonowymi blokami skalnymi.

Twierdza kłodzka jest atrakcją turystyczną tej części Dolnego Śląska. Zwiedzającym udostępniono nawet niektóre podziemia, lecz nadal nie udało się dostać do sporej części podziemnych kazamatów tej wielkiej budowli fortecznej. Nie ma bowiem planów twierdzy. Te albo ukryto, albo zniszczono.

No i podziemia podwałbrzyskiego Walimia, które wraz z zamkiem Książ przygotowywano w końcowej fazie wojny na nową kwaterę główną Adolfa Hitlera. Gdy to zamierzenie okazało się nierealne, podziemia Gór Sowich oraz te wydrążone pod zamkiem, najprawdopodobniej służyły za miejsca ukrycia wielu cennych lub ważnych dla Niemców przedmiotów, które nie powinny się dostać w ręce zwycięzców,

Przesłuchiwany przez pracowników Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu Józef Kłyszajko zeznał:

"...Pod koniec wojny do Książa zaczęły napływać transporty dużych skrzyń wypełnionych nieznanymi przedmiotami. Mówiło się wówczas, że w skrzyniach tych są zgromadzone skarby kultury francuskiej, w tym Biblioteka Narodowa z Paryża. Skrzynie te ukrywano w wykutych pod ziemią tunelach.

*

Obecnie nic ma miejscowości o nazwie Krzaczyzna. Przed laty włączano ją do pobliskich Kowar. I tylko znajdujący się przy ruchliwej szosie Karpacz - Jelenia Góra przystanek autobusowy o tej nazwie przypomina, że kiedyś istniała taka wioska, W przewodniku "Karpacz i okolice" pióra Krzysztofa R. Mazurskiego czytamy między innymi:

"Krzaczyzna niewielkie osiedle o zachowanym wiejskim charakterze, posiada pewne tradycje przemysłowe, gdyż w XVIII wieku założono tu młyn papierniczy i folusz do filcowania wełny. W czasie ostatniej wojny hitlerowcy rozpoczęli kucie ponoć wielkich podziemnych zakładów, po których zostały zasypane sztolnie..."

Ponoć? Otóż 21 września 1967 roku na tamach "Nowin Jeleniogórskich" ukazał się wywiad z historykiem i dziennikarzem z Luksemburga - Evy Friedrichem. Podczas wojny jako internowany przebywał on w obozie pracy mieszczącym się na terenie fabryki zbrojeniowej "Wilhelm Schmidding" w Krzaczyźnie, Wspominał, że w tej fabryce Niemcy prowadzili doświadczenia z silnikami do rakiet V-2 i samolotów odrzutowych, zaś w pobliskich sztolniach wykutych w skalach góry funkcjonowały laboratoria - według Friedricha - przetwarzające rudę uranu.

Okolice Schmiedeburgu (czyli obecnych Kowar) były podczas wojny jednym z miejsc eksploatacji rudy uranu. Wydobywano ją również w pobliżu kilku innych miejscowości sudeckich, Friedrich wspominał, że ruda uranu transportowana była do krzaczyńskich podziemi, gdzie pracowali liczni uczeni niemieccy, na stałe zatrudnieni w instytutach naukowych we Frankfurcie nad

Menem. Czy tylko niemieccy? Z niektórych, nigdy do końca niezweryfikowanych informacji wynika, iż w połowie 1943 roku sprowadzono w te okolice ponad stu fizyków i chemików z okupowanej Danii i Norwegii. Czy zatrudniono ich w Krzaczyńcu? W każdym razie dalszy los tych ludzi nie jest znany.

Niespełna siedem lat później na łamach tychże "Nowin Jeleniogórskich" ukazała się rozmowa z Marią Sapałowicz, robotnicą przymusową Krzaczyńcu. Powiedziała między innymi, że dopiero 8 maja 1945 roku Niemcy eksplodowali ładunki wybuchowe założone przy wejściach do podziemi, odcinając je od świata zewnętrznego. Co pozostało wewnątrz góry? Hitlerowskie laboratoria? Zapasy rudy uranu? W ostatniej niemal chwili przed wkroczeniem czerwonooarmistów przywiezione tu skarby lub archiwa? Najprawdopodobniej też w sztolniach zostali żywcem pogrzebani więźniowie zatrudnieni przy rozbudowie tych podziemi, a być może również naukowy personel pomocniczy. Kto wie, czy nie znalazła tu śmierci wspomniana grupa uczonych z Danii i Norwegii?

Podczas wojny w Jeleniej Górze i okolicach funkcjonowało wiele obozów pracy, o których niemało wiadomo. Kto w nich przebywał, przy jakich robotach zatrudnieni byli robotnicy przymusowi lub więźniowie i co się z nimi stało. Jak czytamy jednak w monografii "Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945", w tej okolicy funkcjonowały również obozy pracy oraz oddziały robocze jeńców wojennych, o których nie wiadomo nic konkretnego. Taki obóz istniał co najmniej od października 1943 roku w Kowarach, o którym wiadomo tylko, że przebywali w nim obywatele polscy pochodzenia żydowskiego. W pobliskiej Kamiennej Górze (Landeshut) funkcjonowały również dwa tajemnicze obozy: Boberlager i Hirschberg Lager 1. Jeszcze bardziej tajemniczy jest oddział roboczy jeńców wojennych ze Stalagu VIII A Goerlitz, który pod koniec wojny operował w okolicach Karpacza (Krummhuebel), a więc w pobliżu Krzaczyńcu. Do dziś nie ustalono narodowości jeńców i zakresu prac, które wykonywało to Kommando nr 342. Być może zajmowało się ono ukrywaniem cennych, wartościowych przedmiotów oraz maskowaniem kryjówek. Wszystko wskazuje na to, że jeńców z Kommando nr 342 Niemcy wymordowali,.,

Późnym popołudniem lub nawet wieczorem 9 maja 1945 roku do Krzaczyńcu wkroczyły pierwsze patrole czerwonooarmistów- Czy Rosjanie zainteresowali się zamaskowanymi podziemiami? Czy próbowali się doń dostać? Czy i co stąd wywieźli? Na te pytania nie ma odpowiedzi, chociaż wiadomo, że służby specjalne ZSRR, w tym posuwające się za frontem grupy uczonych, interesowały się wszystkimi nowymi rodzajami broni, laboratoriami i fabrykami zbrojeniowymi na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną, zwłaszcza zaś bronią raketową i atomową. Wiele interesujących informacji zdobywano również od jeńców.

Czy pojawiające się od czasu do czasu informacje o poważnym zaawansowaniu prac nad wyprodukowaniem niemieckiej broni atomowej mają swoje uzasadnienie? Historycy nie są co do tego zgodni, chociaż powszechnie wiadomo, że nauka niemiecka w ogóle, a fizyka w szczególności zajmowały w

tym czasie przodującą pozycję w świecie. Fizycy niemieccy jako pierwsi zakończyli teoretyczne i eksperymentalne badania niezbędne do skonstruowania reaktora atomowego pracującego na uranie. I jako pierwsi otrzymali konkretne wyniki prowadzące do łańcuchowej reakcji jądrowej. Oni też pierwsi przewidzieli, że w reaktorze uranowym będzie powstawał nowy pierwiastek nazwany później plutonem. Fizycy niemieccy byli także pionierami w produkcji metalicznego uranu na skalę przemysłową. W wyścigu atomowym Niemcy jeszcze w 1941 roku utrzymywali niekwestionowane pierwsze miejsce!

Potem tempo prac nad wyprodukowaniem niemieckiej bomby atomowej osłabło - złożyło się na to wiele czynników, z których do najważniejszych trzeba zaliczyć wykorzystywanie niemal całego potencjału przemysłowo-energetycznego do produkcji broni konwencjonalnej, a także nasilające się bombardowania głównych ośrodków przemysłowych Rzeszy, co zmuszało Niemców do praktycznie ciągłej odbudowy zniszczonych zakładów, a w końcowej fazie wojny do przeniesienia najważniejszych z nich pod ziemię.

Nie bez znaczenia był też lekceważący stosunek Hitlera do fizyki jądrowej, którą zaliczał do "sztuczek żydowskich". Zresztą wygnanie z Niemiec Alberta Einsteina i Roberta Oppenheimera oraz innych uczonych żydowskiego pochodzenia uznać można za najbardziej samobójczy cios, jaki hitlerowcy zadali sobie własnymi rękoma. Trzeba Jednak dodać, że na szczęście dla ludzkości, ponieważ broń atomowa w dyspozycji Hitlera okazałaby się zgubną dla cywilizacji światowej.

Rozumiało to zresztą wielu fizyków z tych, którzy pozostali w Niemczech. Niektórzy odmówili współpracy z Hitlerem, inni pozornie się na nią godząc, prowadzili badania w fałszywym kierunku. Laureat nagrody Nobla - profesor Otto Hahn miał nawet oświadczyć: *"Jeżeli Hitler otrzyma do swej dyspozycji bombę atomową, odbiorę sobie życie"*. Wielu jednak kontynuowało badania, a kierownictwo III Rzeszy nic odmawiało swego poparcia projektowi wyprodukowania bomby atomowej.

Czy z fazy eksperymentów laboratoryjnych udało się Niemcom przejść w latach 1942-1945 do przedsięwzięć o charakterze przemysłowym? O osłonięcie tej fazy mgłą tajemnicy postarali się przede wszystkim zwycięzcy: Amerykanie i zwłaszcza Rosjanie, którzy w ramach zdobyczy wojennych przejęli zarówno naukowców niemieckich, jak i sprzęt oraz zapasy surowców potrzebnych do produkcji broni atomowej. I podczas powojennego wyścigu zbrojeń ukrywali tu, co udało im się zdobyć w pokonanych Niemczech.

Ale przecież Niemcy praktycznie do końca wojny pracowali nad wyprodukowaniem bomby atomowej. 16 grudnia 1944 roku fizyk Walter Gerlach meldował szefowi Kancelarii NSDAP, reichsleiterowi Martinowi Bormannowi; *"Jestem przekonany, że w chwili obecnej wyprzedzamy znacznie Amerykę w dziedzinie badań, jak również opracowań naukowych, aczkolwiek musimy pracować w znacznie, trudniejszych warunkach niż Amerykanie"*. I wiele wskazuje na to, że właśnie Sudety, a ściślej okolice Mioszowa, Kamiennej Góry, Kowar

i pobliskiej Krzaczyny mogły w ostatniej fazie wojny tworzyć jeden z kilku supertajnych ośrodków atomowych IU Rzeszy.

Znaki zapytania pozostaną. Lecz jak w takim razie zinterpretować poniższy fragment wspomnień pułkownika Nicolausa von Belowa, adiutanta lotniczego Hitlera? Jesienią 1944 roku przebywającego na rekonwalescencji w śląskim uzdrowisku Salzbrunn (Szczawno Zdrój koło Wałbrzycha) Belowa odwiedził zastępujący go przy boku Hitlera major Gerhard von Szymonski. Zdając relację z tego, co dzieje się w Kwaterze Głównej Fuehrera, opowiadał "o *planach Hitlera przygotowania ofensywy w Ardenach przeciwko Amerykanom, która miała na celu dotarcie do Antwerpii* Zapytałem Szymonskiego, co Hitler chce przez to osiągnąć. Jeżeli nawet dojdziemy do Antwerpii, to tym samym nie dokona się jeszcze wcale żadne decydujące przełamanie. Szymonski powiedział tylko tyle, że Hitler pragnie przez tę ofensywę zyskać na czasie, jaki jest potrzebny do wyprodukowania nowej broni. Zapytałem, jakiej? Nie mógł mi odpowiedzieć na to pytanie".

W tym czasie bomby latające V-1 rakiety V-2 były już w praktycznym użyciu bojowym. O jaką zatem nową broń mogło chodzić? Czyżby atomową? I czy w obliczu tego straszliwego pytania nie jest prawdopodobna hipoteza, iż w dwóch spośród ośmiu sejfów zabranych w końcu kwietnia 1945 roku z banku jeleniogórskiego przez tajemniczy konwój wojskowy miały znajdować się zaszyfrowane wyniki prac uczonych niemieckich nad bronią atomową? Jeśli tak było w istocie, to po co przechowywano je właśnie tu? Czyżby po to, że były potrzebne w sudeckim ośrodku atomowym III Rzeszy?...

*

Niezwykle trudno jest po latach odtworzyć trasę konwoju ciężarówek wojskowych, które na krótko przed zajęciem Hirschbergu przez Armię Czerwoną, co nastąpiło późnym popołudniem 9 maja 1945 roku, zabrały osiem ciężkich sejfów z miejscowego oddziału Banku Rzeszy.

W każdym razie ciężarówki pojechały w kierunku Ciepliec (Bad Warmbrunn), które wówczas były samodzielnym miastem. Ale do Ciepliec nie dotarły. Po drodze konwój skręcił w prawo i polnymi drogami, omijając nie tylko Cieplice, ale i Sobieszów (obie miejscowości są obecnie dzielnicami Jeleniej Góry) oraz Piechowice, skierował się w stronę Górzyńca, wioski dzielącej Karkonosze od Gór Izerskich. Wioskę ciężarówki minęły ze zgaszonymi światłami i pojechały w kierunku majaczącej w ciemnościach ściany lasu...

Próbując odtworzyć trasę lub też trasy dalszej jazdy ciężarówek zakładano nawet, że konwój ów w pewnym momencie się rozdzielił. Fakt, że ostatni ślad samochodów został w Górzyńcu, niczego nie ułatwiał. Wręcz przeciwnie. Z tego miejsca ciężarówki mogły bowiem skierować się w niemal bezludny kompleks Gór Izerskich lub leż pojechać do Szklarskiej Poręby (Schreiberhau) i nawet dalej, w czeską obecnie, a wówczas niemiecką część Su-

detów, Nie wykluczono również hipotezy ukrycia samochodów z ładunkiem lub też samych tylko sejfów w podziemnych sztolniach Gór Izerskich. Na dwie takie sztolnie o około trzystumetrowej długości i do czterech metrów szerokości, wykutych w litej skale pod olbrzymią, odkrywką kopalni kwarcu, natrafiono kilka lat po wojnie. Może tych sztolni było więcej? W każdej z nich dałoby się ukryć całą kolumnę samochodów ciężarowych i poprzez wysadzenie dynamitem wjazdu zamaskować ów podziemny skarbiec. A może ładunek z samochodów znalazł się w podziemnej fabryce zbrojeniowej, która w końcowej fazie wojny funkcjonowała gdzieś w okolicach Jeleniej Góry? I która leż została zamaskowana na tyle skutecznie, że do dziś nic udało się na nią natrafić. W każdym razie w ciemnościach tamtej wiosennej nocy rozwiął się ślad po konwoju niemieckich ciężarówek wojskowych z bankowymi sejfami.

Czy do tego konwoju należały dwie ciężarówki, na które wkrótce po zajęciu tych terenów przez Armię Czerwoną natrafiono przy szosie Szklarska Poręba - Harrachow? Stały puste i opuszczone w pobliżu skoczni narciarskiej, ale co ciekawe, nic miały również, jak te z konwoju, tablic z numerami rejestracyjnymi. Czy ciężarówki te porzucono po zawiezieniu w okolice wodospadu Kamieńczyka przynajmniej dwóch sejfów, które ukryto w znajdującej się za środkową kaskadą wodospadu grocie zwanej Złotą Jamą? O istnieniu tej groty dowiedziano się dopiero w kilka miesięcy po zakończeniu działań wojennych ze starego niemieckiego przewodnika turystycznego. Mimo iż nie było to wcale proste, zajrzano tam. Złota Jama była jednak pusta...

Była pusta od zakończenia wojny czy też później została opróżniona? A jeśli tak, to przez kogo? W okolicach Szklarskiej Poręby jeszcze długo po wojnie grasowały bandy prohitlerowskiego Werwolfu. Nie można wykluczyć, iż właśnie członkowie Werwolfu mogli wiedzieć o tej prowizorycznej skrytce i po wyciągnięciu z niej sejfów albo ukryli je w innym, bardziej bezpiecznym miejscu, albo przerwali przez niezbyt wtedy strzeżoną granicę na czeską stronę i dalej do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Wszak przez kilka pierwszych tygodni powojennych przez nikogo praktycznie nie kontrolowane pociągi kursowały ze Szklarskiej Poręby do Harrachowa. Dopiero latem 1945 roku starosta jeleniogórski - Wojciech Tabaka polecił żołnierzom polskim, którzy przypadkowo znaleźli się w tej okolicy, - wysadzić w powietrze odcinek torów w rejonie Jakuszyc, przerywając ten przemytniczy szlak.

*

Człowiekiem, który musiał być wtajemniczony w akcję ukrywania w Sudetach dzieł sztuki, kosztowności, złota i srebra ze skarbów bankowych oraz archiwów hitlerowskich był Karl Hanke. Ten cieszący się aż do końca bezgranicznym zaufaniem Hitlera dolnośląski gauleiter NSDAP, czyli okręgowy szef partii nazistowskiej i jednocześnie komisarz obrony Rzeszy, wiedział o wszystkim, co działo się na terenie jego prowincji. Wprawdzie został on w oblężonym przez Armię Czerwoną Wrocławiu, ciężką ręką przywracając ślepią dyscyplinę wśród obrońców "Festung Breslau" ale najważniejsze miejsca ukrycia wybierano wcześniej, gdy Hanke cieszył się jeszcze swobodą ruchów i nie musiał zajmować się na bieżąco obroną, a raczej systematycznym niszczeniem Wrocławia. Tu wszak ? jego rozkazu zrównano z ziemią niemal całą dzielnicę, pod ostrzałem artylerii radzieckiej przygotowując lotnisko w centrum miasta. Gdy za wierną służbę Hitler w swym testamencie mianował go reichsfuchrerem SS na miejsce zdegradowanego za zdradę Heinricha Himmlera, Hanke nad ranem 6 maja 1945 roku wsiadł do samolotu "Fieseler Storch" i wystartował z tego lotniska, porzucając obrońców twierdzy. Wystartował i - wszelki ślad po nim zaginął.

To jedna z wersji. Druga głosi, że z oblężonego Wrocławia Hanke uciekł na prototypowym śmigłowcu, który został zmuszony do wylądowania na terenach zajętych przez czerwonoarmistów. Czy Hanke zdradził Rosjanom niektóre tajemnice swej prowincji? I jaką zginął śmiercią? Ponoć samobójczą..

No i pozostają jeszcze Rosjanie, którzy w pierwszych latach powojennych traktowali Dolny Śląsk jak swój folwark. Co się dowiedzieli choćby od jeńców wojennych? Co odkryli w Sudetach i stąd wywieźli do ZSRR? Ze wspomnień osadników i zachowanych raportów co odważniejszych przedstawicieli władz polskich wynika, że czerwonoarmiści nie gardzili dosłownie niczym, co przedstawiało jakąkolwiek wartość materialną lub militarną. To na polecenie wojskowych władz radzieckich jeńcy niemieccy rozebrali, lub raczej zerwali sieć trakcyjną zelektryfikowanych tu linii kolejowych, na przykład z Wrocławia przez Wałbrzych i Jelenią Górę do Zgorzelca.

W archiwum Biblioteki Muzeum Śląskiego we Wrocławiu pozostał dokument, który częściowo choćby przedstawia to, co wojskowi radzieccy robili w zamku Książ od maja 1945 do czerwca roku następnego, kiedy to potężne zamczysko przekazano administracji polskiej. Dokumentem tym jest kopia raportu Stefana Styczyńskiego z 20 sierpnia 1946 roku do Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki RP w Warszawie, dotyczącego sytuacji "*w Zamku Fuerstenstein, pow. Wałbrzych*".

Na wstępie Styczyński pisze o wojennych losach zamku, wspominając, iż był on przebudowywany na jedną z rezydencji Hitlera. Dalej zaznacza, że z chwilą objęcia zamku przez wojska radzieckie jego wyposażenie znajdowało się w nienaruszonym stanie i pisze:

„... Gospodarka Rosjan przez cały rok 1945, jeśli chodzi o ruchomości zamku, polegała głównie na przygodnym wywożeniu rzeczy cenniejszych, co jednak nie miało charakteru akcji zorganizowanej z góry. Wywożono meble, obrazy, dywany, rzeźby itd. Dopiero w styczniu 1946 roku zjechała komisja, złożona z wyższych oficerów kwatery marszałka Rokossowskiego (Konstanty Rokossowski był wówczas dowódcą wojsk Armii Radzieckiej stacjonujących w Polsce - przyp. L. A.), która dokonała przeglądu całości. Całość urządzenia, aczkolwiek uszczuplona, sprawiała jeszcze wówczas wrażenie skompletowanego zespołu. Były nawet jeszcze gobeliny, dywany i obrazy. W kilka dni po odjeździe komisji rozpoczął się zorganizowany wywóz na wielką skalę, który w lutym objął bibliotekę, w marcu i kwietniu resztę ruchomości. W maju w barbarzyński sposób zniszczono resztę pozostałych ruchomości: dokładnie połamano wszelkie meble, powyrąbiano drzwi, okna, powyrywano tu i ówdzie parkiet, wszystkie boazerie i malowidła ze ścian tak, że wnętrza kompletnie spustoszone przedstawiają obraz całkowitej ruiny, szczęśliwie, jak dotąd, chronionej przez nieuszkodzony dach. W tym stanie zamek przekazany został w początkach czerwca władzom polskim...”

Styczyńskiego jako pełnomocnika Ministerstwa Kultury i Sztuki do spraw rewindykacji dóbr kulturalnych zrabowanych w Polsce interesowało przede wszystkim wyposażenie zamku Książ, a nie Jego tajemnice wojenne. Lecz do jakich wniosków doszli Rosjanie, którzy zajmowali zamek przez ponad rok? Czy spenetrowali jego podziemia?

I czy w ogóle Rosjanie odnaleźli lub dorobili klucz do sudeckiego skarbcia III Rzeszy?

Ciekawe również, co na ten temat kryją przepastne archiwa byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

O zdobycie wspomnianego wyżej klucza toczy się bitwa, którą nazwałem bitwą o sudety. Wiele wskazuje na to, iż najważniejsze miejsca ukrycia na Dolnym Śląsku skarbów i archiwów nie zostały dotychczas naruszone.

Na początku 1990 roku doktor Jacek E. Wilczur, członek ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce - Instytutu Pamięci Narodowej, na łamach "Ilustrowanego Kuriera Polskiego" pisał: *"Na podstawie istniejącej wiedzy, ale i hipotez, które się z tą wiedzą czysto pokrywają, można przejąć, że Niemcy nie pozostawili ukrytych wartości bez opieki. Można przyjąć, że ukryte w naszych ziemiach i dotąd tu pozostające dobra są nadzorowane, mają swoich opiekunów"*,

Ich macki sięgają wysoko, bardzo wysoko. Jest o tym mowa w rozdziale poświęconym tajemnicom nadodrzańskiego Lubiąża. W każdym razie przemierzając wzdłuż i wszerz Ziemię Dolnośląską spotykałem także ludzi ogarniętych strachem, paralizującym strachem o własne życie i życie swych najbliższych, I trudno jednoznacznie stwierdzić, czy ów strach ma jakieś racjonalne podstawy, czy jest tylko elementem legendy lub sztucznie wywołanej psychozy.

Niektórzy mieszkańcy Jeleniej Góry, Wałbrzycha, Kowar czy Kłodzka oraz okolicznych miejscowości, zwłaszcza ci żyjący tam już od 1945 lub 1946 roku, bali się otworzyć ust i powiedzieć cokolwiek o tajemniczych budowlach, sztolniach lub lochach nierzadko sąsiadujących z ich domami.

- *Oni tu wrócą... Nie chcę mówić... Boję się...*

Takie mniej więcej padały odpowiedzi. I czasami charakterystyczny znak - palec na ustach, A więc, że ściany mają uszy, że być może nawet najbliższy sąsiad należy do grona tych opiekunów, o których wspominał doktor Jacek E. Wilczur.

Gdzieś w ziemi niszczej skarby europejskiej kultury, butwieją drewniane skrzynki ze sztabkami złota i srebra, gniją dokumenty, z których cześć zainteresować może tylko historyków, lecz cześć ma nadal moc ładunku wybuchowego o dużej sile rażenia. Wszak właśnie w Sudety, w okolice między innymi Świdnicy i Jeleniej Góry, wiedzie ślad ewakuacji z Krakowa archiwum tak zwanego rządu Generalnego Gubernatorstwa. Wśród ukrytych akt formacji policyjnych GG są i takie, których odnalezienia i opublikowania nie życzyłoby sobie wielu Polaków. Zwłaszcza tych "prawdziwych".

Bitwa o wydarcie Sudetom tajemnic trwa.

ZAGADKA POCYSTERSKICH LOCHÓW

Jesienią 1986 roku ówczesny minister spraw wewnętrznych PRL - generał broni Czesław Kiszczak wydał Nadwiślańskim Jednostkom Wojskowym MSW pisemne polecenie dokładnego zlokalizowania w terenie mających - na co wiele wskazuje - znajdować się w Lubiążu poniemieckich obiektów podziemnych i odszukania zamaskowanych wejść do nich. 2 grudnia tegoż roku pododdział saperów MSW pod dowództwem majora Bogusława Modrzejewskiego zakwaterował się w Lubiążu i następnego dnia przystąpił do prac ziemnych,

Niespodziewanie, po kilku dniach rokujących nadzieję na sukces poszukiwań, saperzy otrzymali rozkaz powrotu do koszar. Rozkaz ów nie pochodził ponoć od ministra-generała. Od kogo zatem? W ówczesnej Polsce polecenie Kiszczaka mogło zmienić tylko dwóch ludzi: Wojciech Jaruzelski, który był I sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR i jednocześnie przewodniczącym Rady Państwa PRL oraz premier Zbigniew Messner. Nie można również wykluczyć, że sugestia przerwania prac poszukiwawczych mogła też wyjść z obcego źródła dyspozycyjnego, a mianowicie od warszawskiego rezydenta KGB. Wszak - przypomnijmy • był wówczas rok 1986...

*

Po raz drugi w swoim życiu do Lubiąża przyjechałem od strony Lubina. I to nie, jak kiedyś, zatłoczonym autobusem PKS z Wrocławia, lecz redakcyjnym samochodem. W Legnickiem nie zauważyłem jednak ani jednej tablicy informującej o dojeździe do tej miejscowości, która od co najmniej kilku lat budzi zainteresowanie dziennikarzy zajmujących się tajemnicami drugiej wojny światowej oraz - poszukiwaczy skarbów, a także turystów, nie tylko zresztą polskich.

Po minięciu mostu na Odrze znaleźliśmy się w województwie wrocławskim. Zaraz za tablicą informującą, że tu zaczyna się Lubiąż, z mgły wyłoniły się zabudowania dawnej stacji kolejowej. Dawnej, ponieważ linię kolejową rozebrano wkrótce po wojnie, a w budynkach stacyjnych, urządzono mieszkania.

Stojąc na dawnym placu dworcowym, przez zasłonę z powoli opadającej mgły zauważyłem kontury ogromnej budowli. Po niespełna minucie jazdy samochodem znaleźliśmy się przed wręcz monumentalnymi zabudowaniami unikatowego na skalę co najmniej europejską barokowego zabytku - dawnego klasztoru Cystersów w Lubiążu.

Zabudowania kompleksu klasztornego przedstawiają jednak obraz nędzy i rozpacz. Od razu widać, że nie mają one zasobnego w gotówkę gospodarza, ponieważ na właściwą renowację tego zabytku trzeba byłoby wyteńczyć dziesiątki, jeśli nie setki miliardów złotych. O skali takiego przedsięwzięcia renowacyjnego, które wcześniej czy później trzeba będzie przeprowadzić, niech świadczą tylko te dwie liczby. Otóż długość ściany frontowej klasztoru wynosi 223 metry,

zaś skrzydła boczne - 118. Natomiast o barokowym przepychu panującym wewnątrz niektórych pomieszczeń poklasztornych można się przekonać oglądając nieliczne zachowane zdjęcia z lat międzywojennych, gdy Lubiąż leżał na terytorium Rzeszy Niemieckiej i nosił oficjalną nazwę Leubus.

Oto leży przede mną fotografia Sali Książęcej w pałacu opatów. Na plafonie tej powstałej w latach 1734-38 sali widać wielkie malowidło pędzla znakomitego K.F. Bentuma. Liczne tu rzeźby to dzieło równie znanego F.J. Mangoldta, zaś sztukateria – A. Provisore. Dzięki nim powstała najwspanialsza sala barokowa na Śląsku. Podobnie wyglądały inne pomieszczenia południowej części zespołu, na przykład letni refektarz z freskiem F.A. Scheffera z 1733 roku. W środkową część kompleksu wkomponowano gotycki kościół Najświętszej Marii Panny z lat 1307-40, barokizując jego fasadę. We wnętrzu świątyni zachowały się nieliczne fragmenty romańskie oraz sporo płyt nagrobnych śląskich książąt piastowskich. Medaliony w prezbiterium namalował w latach 1691-92 najlepszy śląski malarz baroku Michał Wilimann.

Jak się rzekło, wszystko to przedstawia dziś obraz nędzy i rozpacz. Naprzeciw głównego budynku zespołu poklasztornego wznosi się na przykład kościół świętego Jakuba, który z zewnątrz wygląda jak zabytkowa ruina. Ustawione zaś w parku i przed klasztorem rzeźby Mangoldta to już tylko ich kikuty...

Tyle tylko pozostało po ongiś bogatym klasztorze Cystersów. Do Lubiąża z Saksonii sprowadził ich w 1163 roku książę Bolesław Wysoki i rychło klasztor stał się ważnym ośrodkiem kulturalnym i gospodarczym oraz jednym z centrów życia religijnego na Śląsku. To tu w latach 1281-85 powstały cenione przez historyków "Roczniki Lubiąskie" między innymi gloryfikujące średniowieczne dzieje Polski. W latach 1681-1739 Cystersi znacznie rozbudowali swój klasztor. To, co na prawym brzegu Odry stoi do dziś, to właśnie rezultat ich - by tak rzec - prac inwestycyjnych. A że w architekturze niepodzielnie panował wówczas barok, klasztor, a zwłaszcza pałac opacki, przekształcono w bogatą rezydencję, pełną cennych malowideł Ściennych, obrazów, rzeźb i innych dzieł sztuki.

Cystersi niezbyt długo cieszyli się swym nowym i wspaniałym klasztorem w Lubiążu. W listopadzie 1810 roku w rezultacie sekularyzacji zakonu klasztor wraz z opactwem przeszły na własność państwa pruskiego i od tego czasu były wykorzystywane przez Niemców na cele świeckie.

Mnie Jednak sprowadziły tu, nad Odrę, nie dzieje lubiąskiego klasztoru Cystersów. To zostawiam bardziej ode mnie kompetentnym historykom, przede wszystkim sztuki. Przyjechałem tu, by odszukać śladów innej budowli. Równie potężnej jak dawny klasztor, a może nawet potężniejszej. Tyle tylko, że budowli tej nie widać, a jej istnienie głęboko pod ziemią jest przez niektórych kwestionowane. Faktem jest, że nie zdobyto - jak dotychczas - namacalnego dowodu na istnienie w okolicach Lubiąża dużej podziemnej fabryki zbrojeniowej. Nie udało się też odnaleźć wejść i spenetrować hal mających znajdować się pod ziemią w okolicach Lasku Świętej Jadwigi i dawnego Wzgórza Trzech Krzyży, kilka ki-

lometrów na północny wschód od zabudowań po klasztornych, między Lubiążem a Krzydliną.

Chociaż od zakończenia drugiej wojny światowej minęło już tyle lat, nie udało się dotychczas wyjaśnić tajemnic Lubiąża. Na dobrą sprawę nawet nie próbowano, a nieliczne przedsięwzięcia podejmowane w tym celu były torpedowane równie tajemniczymi decyzjami ludzi pełniących wysokie funkcje państwowe. Będzie o tym jeszcze mowa.

Jedynym człowiekiem, który publicznie głosi, że fabryka podziemna w Lubiążu istniała naprawdę i istnieje nadal, jest Stanisław Siorek z Wrocławia. Ten oficer byłej Służby Bezpieczeństwa mówi i pisze to, co wielu innych zbywa albo wzruszeniem ramion i wymownym kółkiem na czole, albo też z grymasem strachu przykłada palec do ust.

„Lepiej o tym zapomnieć. Za Lubiąż można jeszcze dziś zapłacić głową - powie wielu mieszkańców Dolnego Śląska, którzy zbytnio interesując się wojenną przeszłością tych ziem spotykali się z niewytłumaczalnymi zjawiskami. Zmową milczenia, mniej lub bardziej zawołowaną groźbą, nawet szantażem.

- Ma pan dzieci? Tak, Niech więc pan lepiej na nie uważa, a nie zajmuje się tym, co pana nie powinno interesować. Po co dzieciom ma się coś stać w drodze ze szkoły...

Na ogół to skutkuje. Na bardziej opornych znaleziono inne sposoby. Kaftan bezpieczeństwa i szpital psychiatryczny, czasem wypadek samochodowy tub po prostu nóż w plecy.

Zauważyłem to tylko kątem oka i zrazu myślałem, iż uległem złudzeniu, ale teraz jestem prawie pewien, że gdy wyjeżdżaliśmy z przyklasztornego parku, za załomem muru stał jakiś niepozorny człowieczek i na skrawku papieru coś notował. Zapewne numer rejestracyjny redakcyjnego "Opla"...

*

Czerwonoarmiści zajęli Lubiąż 26 stycznia 1945 roku, piętnastego dnia od rozpoczęcia wielkiej ofensywy zimowej na froncie wschodnim, zwanej też ofensywą styczniową.

Zabudowania dawnego klasztoru Cystersów były wprawdzie zdewastowane, ale nie były zniszczone. Niemcy nic bronili tego skrawka Dolnego Śląska. 23 stycznia wycofali się oni z Leubus, wysadzając tylko w powietrze mosty na Odrze: kolejowy i drogowy. Rosjanie zaś w zabudowaniach poklasztornych urządzili wielki obóz dla uwolnionych z niewoli niemieckiej jeńców radzieckich, dokonując tu swoistej selekcji na tych, którzy mogą wrócić do ojczyzny (najczęściej do obozów pracy gdzieś na Dalekim Wschodzie lub Północy Związku Radzieckiego) i na tych, którzy uznani za politycznie niepewnych zostali rozstrzelani, a ich ciała zapewne użyźniły podlubiąskie pola.

Ten okres w historii Lubiąża jest równie mało znany, jak wojenne dzieje tej miejscowości. Wiadomo tylko, że po likwidacji obozu dla radzieckich jeńców

wojennych w zabudowaniach poklasztornych Rosjanie urządzili szpital wojskowy, W drugiej połowie 1947 roku dawny klasztor przekazano administracji polskiej w stanie - delikatnie określając - opłakanym.

Mógł się o tym przekonać Stefan Styczyński, działający na Dolnym Śląsku pełnomocnik Ministerstwa Kultury i Sztuki do spraw rewindykacji dóbr kulturalnych zrabowanych Polsce, jeden z odważniejszych w ówczesnej sytuacji geopolitycznej przedstawicieli władz Rzeczypospolitej. Jego raporty są pasjonującą, ale jednocześnie przerażającą lekturą. Opisywał w nich bowiem, z jaką premedytacją radzieckie władze wojskowe rabowały lub niszczyły kulturalny dorobek pokoleń na Dolnym Śląsku, wskazując również winnych, a mianowicie na stacjonujący w Legnicy sztab dowódcy wojsk radzieckich w Polsce - marszałka Konstantego Rokossowskiego.

Właśnie Styczyński, który w 1947 roku wizytował Lubiąż, zanotował w jednym ze swych raportów zeznanie niemieckiego proboszcza miejscowej parafii: *"Budynki klasztoru od 1940 roku służyły jako obóz dla wielotysięcznej rzeszy jeńców i robotników cudzoziemskich pod opieką SS"*.

Był to pierwszy, wprawdzie bardzo ogólny, ale całkowicie zlekceważony sygnał, że w Lubiążu podczas wojny coś musiało się dziać: coś budowano, produkowano, może z czymś eksperymentowano? Wszak "wielotysięcznej rzeszy" nic przetrzymywano by w zabytkowym klasztorze, bez wyraźnie określonej potrzeby. Tymczasem w Lubiążu nie było widać tego czegoś, dla którego wzniesienia potrzebna byłaby aż tak liczna siła robocza.

W tym miejscu można postawić pytanie, czy aby tego czegoś nie usunęli Rosjanie, którzy przez ponad dwa lata zajmowali zabudowania poklasztorne? Z fragmentarycznych relacji wynika, że gdy w końcu stycznia 1945 roku czerwonarmiści zajęli Lubiąż, w piwnicach i części parterowej klasztoru zastali różne maszyny i urządzenia produkcyjne. Według tychże relacji, zadowolili się tym łupem, maszyny wywożąc do ZSRR. Krążące zaś pogłoski o tajemniczym labiryncie podziemnym pod Lubiążem i najbliższymi okolicami uznali za plotki. Można zatem z dużym prawdopodobieństwem założyć, że wojskowe władze radzieckie w ogóle nie podjęły poszukiwań w celu odkrycia wejść do tego podziemnego labiryntu lub po pierwszych, nieudanych próbach zrezygnowano.

Co więcej, Rosjanie wydali polecenie zasypania wszystkich niebezpiecznych miejsc, zwłaszcza w piwnicach klasztornych, po tym gdy penetrujących różne piwniczne zakamarki żołnierzy radzieckich rozerwały miny-pułapki. Zachowała się nawet relacja polskiego świadka, który latem 1947 roku uległ wypadkowi i został odwieziony do radzieckiego szpitala wojskowego w Lubiążu, Czekając na opatrunek zauważył, że lekarze rosyjscy zajmowali się dwoma rannymi żołnierzami. Okazało się, że w czwórkę czerwonarmiści wybrali się do klasztornych piwnic na poszukiwanie skarbów, a może tylko zapasów wina. Odkryli jakieś tajemnicze przejście i w tym momencie eksplodowała mina-pułapka. Dwóch z nich zginęło na miejscu.

Według innych jeszcze relacji, w przyklasztornym parku Rosjanie w końcu stycznia 1945 roku zastali zwały piasku. On właśnie posłużył im do zasypania różnych niebezpiecznych miejsc w klasztornych piwnicach.

Czyżby Rosjanie dokończyli to, czego nie zdążyli zrobić Niemcy? Wszak na zamaskowanie wielkiej fabryki podziemnej - a na jej tu istnienie w latach wojny wskazuje wiele przesłanek i dowodów pośrednich – Niemcy nie mieli wiele czasu. Raptem jedenaście dni: od 12 stycznia, gdy na wojska hitlerowskie runęła lawina ognia i stali zwiastująca wielką ofensywę Armii Czerwonej, do 23 tegoż miesiąca, gdy Niemcy opuścili Lubiąż. Można wprawdzie założyć i na to zresztą wskazują pewne fakty, że wstępne prace maskujące wykonano już wcześniej. Wszak Niemcy liczyli się z ofensywą Rosjan na początku 1945 roku, chociaż zaskoczył ich i termin ofensywy (przewidywali, że nastąpi ona nieco później), i impet uderzenia, gdy podczas zaledwie kilkunastu dni znad Wisty, poprzez ziemie centralnej Polski, dotarli oni w głąb Dolnego Śląska. Z drugiej Jednak strony podziemna fabryka w Lubiążu, jeśli rzeczywiście istniała, była siłą rzeczy zamaskowana od samego początku. Po 12 stycznia 1945 roku wystarczyło tylko odciąć i zamaskować wejścia doń.

W związku z tym, iż w żadnych relacjach nie pojawiają się kolumny ewakuowanych stąd robotników: jeńców i więźniów, można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że zostali oni żywcem pogrzebani pod ziemią, gdzie zmarli wskutek uduszenia poprzez zniszczenie lub tylko wyłączenie systemu wentylacyjnego.

*

Minęły lata. Jeszcze dziś w piwnicach dawnego klasztoru Cystersów w Lubiążu można zauważyć coś, czego nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Oto instalacje elektryczne i telefoniczne zostały dociągnięte do wypełnionych gruzem i piaskiem klatek schodowych wiodących gdzieś w dół na niższą kondygnację zasypanych piwnic klasztornych, czy może jeszcze głębiej? Na ścianach zaś wiszą metalowe uchwyty po wiązkach przewodów elektrycznych grubych jak ręka dorosłego mężczyzny. A oto obcięty, zapewne toporem, potężny kabel energetyczny. Jego końcówka idzie gdzieś w dół, gdzie znowu nic nie powinno być...

Gdy się uważnie poszuka, na terenie dawnego zespołu klasztornego znajdzie się aż trzy pomieszczenia po stacjach transformatorowych. Po co były one tu potrzebne? Albo inaczej. Jak potężnej mocy urządzenia musiały one zasilać w prąd? Wprawdzie w pomieszczeniach po klasztornych Rosjanie znaleźli maszyny produkcyjne, ale wiele wskazuje na to, że pozostawiono je tu celowo, by wprowadzić w błąd dowódców radzieckich, którzy powinni tym zostać przekonani, że zdobyli całe wyposażenie jakiejś fabryki.

Wywiezionych przez Rosjan maszyn było jednak o wiele za mało, by na początku stycznia 1943 roku niemieckie władze wojskowe mogły wystąpić o

pospieszną budowę linii energetycznej wysokiego napięcia 20 kV z Jurcza do Lubiąża, motywując to, *zaopatrzeniem w energię ważnego dla potrzeb wojny projektu budów, który znalazł uznanie i daleko idące poparcie ze strony feldmarszałka Milcha*", Znalezione po wojnie pismo w tej sprawie miało klauzulę tajności.

Feldmarszałek Erhard Milch był sekretarzem stanu w Ministerstwie Żeglugi Powietrznej Rzeszy i po samobójczej śmierci 17 listopada 1941 roku generała Ernsta Udetą objął odpowiedzialność za uzbrojenie niemieckiego lotnictwa. W kwietniu 1947 roku Amerykański Trybunał Wojskowy w Norymberdze skazał go na karę dożywotniego więzienia (wyszedł na wolność w 1954 roku) za wykorzystywanie w przemyśle lotniczym III Rzeszy niewolniczej pracy więźniów, jeńców Wojennych i robotników przymusowych. Na rozprawie nie padło słowo "Leubus"- Czy jednak nic skazano go i za to, co w latach wojny działo się w Lubiążu? A zwłaszcza pod Lubiążem?....

*

Jeśli wierzyć Annie Sukmanowskiej i Stanisławowi Stolarczykowi, autorom książki "Tańcząc na wulkanie", w Urzędzie Ochrony Państwa znajduje sięteczka z dokumentami ozdobiona hasłem "Lubiąż". W przechowywanych materiałach napisano między innymi, że w Lubiążu *"znajduje się zbudowany na bazie opactwa z XII wieku klasztor Cystersów z XVII wieku oraz zespół budynków przyklasztornych. Z informacji uzyskanych przez nas (czyli przez poprzeczkę UOP, Służbę Bezpieczeństwa - przyp. L.A.) od 1973 roku z terenu RFN wynika, że w okresie drugiej wojny światowej w klasztorze tym znajdowała się fabryka zbrojeniowa składająca się z części naziemnej usytuowanej w klasztorze oraz podziemnej znajdującej się pod przyległymi do Lubiąża polami. Obie części miały połączenie tunelem, przy czym z hal podziemnych przeprowadzono na powierzchnie szyb usytuowany w pobliżu tak zwanego Wzgórza Trzech Krzyży. W fabryce pracowali jeńcy wojenni dowożeni z pobliskich obozów (głównie Gross-Rosen i Brzegu Dolnego), a podczas ich transportu do fabryki ludność miała zakaz opuszczania mieszkań. Brak jest informacji o ich powolnym odtransportowaniu do obozu. Z informacji tych wynika także, że przed wkroczeniem do Lubiąża Armii Radzieckiej okoliczna ludność zdeponowała w klasztorze swoje kosztowności, które miały zostać ukryte między innymi w części podziemnej fabryki oraz w podziemiach istniejących w pobliżu kościoła świętego Walentego, leżącego w części lak zwanego Lubiąż Nowego.*

Wyżej wymieniony kościół z klasztorem, jak również znajdującym się w Lubiążu zespołem budynków szpitala psychiatrycznego, miał mieć połączenie podziemnymi korytarzami...".

Nie ulega chyba wątpliwości, że Cystersi wybudowali sobie podziemne tunele, które w razie konieczności szybkiej ucieczki miały im służyć do skrytego opuszczenia klasztoru. Taka była bowiem "moda" w Średniowieczu, a Śląsk nie należał wówczas do ziem bezpiecznych. Przewalały się przez nie liczne najazdy,

niszczyły wojny. Tunele te musiały być więc na tyle długie, by mogły umożliwić zakonnikom wyjście na powierzchnię w bezpiecznej odległości od zagrożonego klasztoru.

O tych pocysterskich lochach wiedzieli Niemcy. I one zapewne dały początek tajemniczej budowie w latach drugiej wojny światowej. Zdaniem Stanisława Siorka Niemcy zainteresowali się Lubiążem już w połowie lat trzydziestych, od 1937 roku produkując tu silniki do dwóch typów "Messerschmittów", a od 1939 roku silniki do rakiet A-4, znanych bardziej jako V-2.

Ta rozpowszechniana przez Siorka informacja (na przykład w "Przeglądzie Tygodniowym", nr 47 z 1990 roku) wymaga krytycznego komentarza. Otóż wydaje się bardzo mało prawdopodobne, by już w 1937 roku, a więc na dwa lata przed wybuchem wojny, Niemcy lokowali swój przemysł zbrojeniowy pod ziemią. Nic im wtedy nie przeszkadzało, by silniki lotnicze mogły być produkowane w normalnych - by tak rzec - fabrykach. Natomiast rakiet V-2, której prototypy wyprodukowano w tajnym ośrodku w Peenemuende na wyspie Uznam dopiero wczesną wiosną 1942 roku» zaś pierwszy udany start nastąpił kilka miesięcy później, w roku 1939 znajdowała się jeszcze w sferze planów.

Te opowieści Siorka można z żalem włożyć między bajki. Sytuacja zmieniła się jednak z chwilą wybuchu wojny i wówczas właśnie poklasztornym kompleksem w Lubiążu mogły się zainteresować władze hitlerowskie.

W tym miejscu trzeba przypomnieć zanotowaną po wojnie relację miejscowego proboszcza, który powiedział, że dopiero od 1940 roku budynki poklasztorne służyły jako *"obóz dla wielotysięcznej rzeszy jeńców i robotników cudzoziemskich"*. Nie trzymano ich tutaj jednak bez celu. Musieli oni wykonywać jakieś zakrojone na dużą, jeśli nie gigantyczną skalę roboty. Czyżby wykorzystywano ich tutaj do budowy fabryki podziemnej? Można się tylko domyślać, że ta niewolnicza siła robocza poszerzała istniejące od kilku wieków lochy pocysterskie, urządzać pod ziemią przynajmniej dwie duże hale produkcyjne. Przynajmniej, ponieważ ich istnienie zostało potwierdzone w minionych kilku latach metodami raczej niekonwencjonalnymi. Uczynili to różdżkarze, ale także nowoczesne badania elektrooporowe i magnetyczne wykazały w tych miejscach próżnię pod ziemią. Nie są i być nie mogą to jeszcze stuprocentowe dowody na istnienie wielkiej fabryki podziemnej w Lubiążu, ale dają one przynajmniej wiele do myślenia, zwłaszcza jeśli wyniki te połączy się z odnalezionymi strzępami dokumentów i zeznaniami świadków.

Spróbujmy przeto ułożyć w jakąś logiczną całość cząstkowe informacje na temat wojennych losów Lubiąża. Nie ulega chyba już żadnej wątpliwości, że w klasztorze Niemcy urządzili fabrykę zbrojeniową. Znamy jej niemiecką nazwę z tak zwanych firmówek odnalezionych po wojnie w piwnicach zespołu poklasztorowego: *"Schlesische Werkstaetten, Dr Fuerstenau Co. GmbH, Leubus, Kreis Wohlau"*. W owych Zakładach Śląskich, zajmujących część parterową zabudowań poklasztornych oraz, piwnice, najprawdopodobniej dopiero od 1942 roku lub nawet nieco później produkowano urządzenia radarowe dla armii niemiec-

kiej oraz ponoć niektóre części do okrętów głównie podwodnych, zapewne urządzenia radiowe i inne elektroniczne części aparatury okrętowej. Czy aby na pewno? I czy tylko? Na te pytania nie ma ścisłej odpowiedzi, są natomiast wątpliwości. Wiadomo, że Lubiążem interesował się feldmarszałek Erhard Milch z Ministerstwa Żeglugi Powietrznej III Rzeszy. Radary - zgoda, skąd jednak aparatura dla niemieckiej marynarki wojennej? Być może była to aparatura radiowa lub elektroniczna do samolotów, a nie wykluczone również, że jakieś części do silników odrzutowych czy bezpilotowych samolotów V-1, zwanych też bombami latającymi, Warto bowiem wiedzieć, że właśnie feldmarszałek Milch zajmował się także produkcją bomb V-1, natomiast rakiety V-2 były domeną specjalistów z wojsk lądowych.

Zakłady Śląskie miały również posiadać supertajną część, mieszczącą się głęboko pod ziemią. Zjeżdżano tam windą lub nawet kilkoma windami, zainstalowanymi w różnych częściach zespołu poklasztornego. Pod ziemią miały być - jak opowiadała Maria Kliszko, autochtonka, która wraz z innymi Niemkami zatrudniona była w fabryce jako kucharka - trzy przedzielone szklanymi ścianami hale. Pracowali tam ludzie w białych fartuchach i dużo niemieckich żołnierzy. Pilnowało ich nie SS, lecz żołnierze w mundurach piechoty. Jeńcy nie wychodzili nigdy na górę. W tunelach mieli sienniki i tam spali.

Opowieść nieżyjącej już pani Marii opublikowano swego czasu we wrocławskiej "Gazecie Robotniczej". Zabrakło jednak dat, choćby tylko określenia roku, bo to właśnie pozwoliłoby ustalić, czy w Lubiążu zlokalizowano normalną fabrykę podziemną wraz z zakładowym laboratorium, czy też coś rzeczywiście supertajnego. Trzeba bowiem pamiętać, że niemiecki przemysł zbrojeniowy zaczął schodzić pod ziemię praktycznie dopiero od 1943 roku, gdy nie nadążano już z usuwaniem szkód wyrządzanych przez strategiczne naloty bombowe aliantów na główne ośrodki przemysłowe III Rzeszy.

Tymczasem proboszcz niemieckiej parafii w Lubiążu wspominał, że już od 1940 roku w zespole poklasztornym przebywała wielotysięczna rzesza jeńców i robotników cudzoziemskich. Było ich o wiele za dużo jak na potrzeby produkcyjne fabryki urządzonej lub już urządzonej w części naziemnej i piwnicach klasztoru. A więc - jeśli proboszcz nic pomylił roku - już wówczas przygotowywano coś głęboko pod ziemią, I to coś musiało być - zdaniem władz hitlerowskich - na tyle ważne dla III Rzeszy, że w czasach, gdy nikt w Niemczech nie myślał jeszcze o fabrykach podziemnych, pod lubiąską ziemią z pomocą nowożytnych niewolników lokowano jakiś super tajny obiekt.

Ale z drugiej strony powołujące się na feldmarszałka Milcha pismo w sprawie pilnej budowy linii wysokiego napięcia 20 kV z Jurcza do Lubiąża pochodzi dopiero z początku 1943 roku i w piśmie tym wspomina się o *"zaopatrzeniu w energię ważnego dla potrzeb wojny projektu budowy"*,..

Projektu właśnie,

Przed wojną Lubiąż był małą, pozbawioną większego przemysłu miejsciną. Dlaczego zatem urządzono tu dużą stację kolejową? Wprawdzie sam budynek dworcowy nie różni się niczym od podobnych w miejscowościach tej mniej więcej wielkości, ale już całe zaplecze stacyjne, po którym pozostało tylko puste miejsce, swą wielkością przerastało potrzeby ówczesnego Leubus. Znaleźli się również tacy, którzy wskazują na miejsce zwane korytarzem, gdzie miał przebiegać tor kolejowy. Według tej wersji tor ów (bocznica) miał wchodzić pod ziemię około 700-800 metrów na wschód od Wzgórza Trzech Krzyży, w pobliżu którego przeprowadzone dotychczas badania lokalizują dwie duże hale podziemne.

Na niemieckiej mapie z 1932 roku wspomniane wzgórze ma wysokość względną 140,9 metrów. Na współczesnej zaś 138,1. Pomyłka? Chyba nie, ponieważ wykonane w podczewieni przez Państwowe Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne zdjęcia lotnicze okolic Lubiąża zostały przez fachowców zinterpretowane w ten sposób, iż w rejonie dawnego Wzgórza Trzech Krzyży dokonano przesunięcia mas ziemnych. Po prostu wzgórze zniwelowano, a na otaczające go pola na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych nadsypiano ziemi, i to najprawdopodobniej nie tylko ziemi ze zniwelowanego wzgórza.

- Gdy podczas wojny budowano tu wielką fabrykę podziemną, całe to tajne przedsięwzięcie maskowano. Ziemię wybieraną z tuneli rozsypywano nocami po okolicznych polach. I najprawdopodobniej pod zwałami lej ziemi grzebano zmarłych z chorób i wycieńczenia robotników: jeńców i więźniów ...

Tę wypowiedź pewnego mieszkańca Legnicy zanotowałem w 1988 roku. Mój rozmówca nie zgodził się na ujawnienie nazwiska, To właśnie on powiedział cytowane już tu zdanie, że *"za Lubiąż można jeszcze dziś zapłacić głową"*. Poproszony zaś o wyjaśnienie, skąd zna takie szczegóły, powiedział iż od pewnego Niemca z RFN, który od wczesnych lat siedemdziesiątych przyjeżdżał często w te okolice. Mówił, że są to jego strony rodzinne. Urodził się bowiem i do 1945 roku mieszkał w Wohlau. To dzisiejszy Wołów - ongiś stolica powiatu, na którego terenie leżał Lubiąż.

Zresztą i Stanisław Siorek mówił w wywiadach prasowych i pisał na łamach kilku czasopism, że w 1942 roku i na początku roku następnego w pocysterskim klasztorze w Lubiążu przebywała dość liczna grupa internowanych Luksemburczyków, Tajemnice tego miejsca próbował potem rozszyfrować historyk i dziennikarz z Luksemburga - Evy Friedrich. Ktoś go jednak przestraszył do tego stopnia, że dociekliwy wcześniej Luksemburczyk przesał przyjeżdżać do Polski i zrezygnował z publikacji na ten temat.

Wśród wielu dziennikarzy wrocławskich hasło "tajemnice Lubiąża" budzi zdziwienie pomieszane ze strachem. Nikt wprawdzie się nie przyzna, ale niektórzy dość wyraźnie sugerują, że ktoś kiedyś dał im do zrozumienia, że będzie dla nich lepiej, gdy zrezygnują z tego typu zainteresowań dziennikarskich.

*

Co sprawia, że tyle lat po wojnie faktyczne lub rzekome tajemnice Lubiąża osłonięte są złą milczeniem? Kto lub co stoi za tym, by tajemnic tych nie udało się ostatecznie wyjaśnić? Tak lub siak. Wszak nie można wykluczyć, że "góra może urodzić mysz". Że kłamali świadkowie, że niewłaściwie interpretowano zachowane dokumenty i wykonane w podczerwieni zdjęcia lotnicze, że niektórych ludzi poniosła fantazja. Trzeba też postawić i takie pytanie. Czy prawie pięćdziesiąt lat od zakończenia wojny można nadal strzec tajemnicy jakiejś podziemnej fabryki zbrojeniowej? Nawet supertajnego wówczas wojskowego ośrodka badawczo-rozwojowego? Wszak już od dawna o tym co w pierwszej połowie lat czterdziestych mogło stanowić skrzętnie chronioną tajemnicą państwową i wojskową III Rzeszy, można przeczytać nie tylko w powszechnie dostępnych pracach naukowych, ale także i w popularnych opracowaniach. I wszystko to już dawno zastosowano w praktyce, przede wszystkim militarnej.

Jeśli zaś podziemia Lubiąża są gigantycznym cmentarzem zamordowanych tam robotników, to poza skonstatowaniem tego zbrodniczego faktu nikomu nic nie grozi. Ci, którzy mogli wydać taki rozkaz (Hermann Goering, Heinrich Himmler, Ernst Kaltenbrunner) już dawno nie żyją, a ewentualne poszukiwania bezpośrednich wykonawców tej zbrodni i tak nic nie dadzą. Kogo szukać? Gdzie szukać?...

Idąc tym niemieckim czy raczej ponemieckim tropem pozostaje tylko jedno logiczne wytłumaczenie owej zmyślonej milczeniowej wokół Lubiąża. Jego podziemia mogły stać się ogromnym skarbem, gdzie na krótko przed wkroczeniem Armii Czerwonej na te tereny ukryto jakieś drogie przedmioty: złoto, perle, dzieła sztuki i Bóg wie, co jeszcze ... Na przykład mógł tu trafić jeden z transportów tak zwanego złota Wrocławia. Mogły tu zostać ukryte drogie przedmioty zrabowane Żydom mordowanym w ośrodkach masowej zagłady.

Za książką "Taniec na wulkanie" zacytujmy jeszcze jeden dokument dawnej Służby Bezpieczeństwa z archiwów Urzędu Ochrony Państwa:

"Według informacji pochodzących od obywatela RFN, w okresie wojny klasztor w Lubiążu (...) zamieniony został na składnicę archiwaliów i dzieł sztuki. Klasztor ten był połączony lochami podziemnymi z miejscowym kościołem parafialnym (od strony kościoła istnienie lochów potwierdzono) oraz z podziemną fabryką zlokalizowaną pod wzgórzem przy tak zwanym Lasku Świętej Jadwigi. Lasek istnieje, a w nim resztki 6 kaplic. Na wzgórzu stały 3 krzyże, a poniżej było wejście do podziemnej fabryki. Przed wkroczeniem wojsk radzieckich całe zasoby miejscowej ludności, bardzo bogatej, i bogactwa z klasztoru oraz kościoła ukryto w lochach, zaś do podziemnej fabryki dowożono bliżej nieznane materiały, nocą i pod konwojem. Następnie całość zamaskowano, krzyże usunięto, wejście do fabryki zasypano.

Nad obiektem czuwała Sajna organizacja hitlerowska, grożąc śmiercią każdemu, kto chciał ujawnić tajemnicę.

W latach 1973-1976 do Lubiąża dwa razy w roku przyjeżdżali z wycieczkami Gerhardt Wojschke i Paul Joensch z Gelsen-Kirchen, którzy badali możliwość wydobywania skarbów i przetransportowania ich do RFN...".

W tym raporcie SB dodano także, że Wojschke i Joensch byli członkami NSDAP i podczas wojny wchodzili w skład lokalnych władz hitlerowskich w Lubiążu.

Można domniemywać, że autorem zarówno tego raportu, jak i innych w tych sprawach jest Stanisław Siorek. Sporządził je podczas pracy w Służbie Bezpieczeństwa PRL i wraz z jej archiwami trafiły do Urzędu Ochrony Państwa. Raporty te traktuje się więc jak dokumenty, w których zawarte są same, i w dodatku sprawdzone, fakty. Tymczasem coraz częściej znawcy zagadnienia kwestionuje fakty zawarte w tych dokumentach, ostrzegając, że wymagają one jeszcze bardzo starannej weryfikacji.

Ale faktem jest również, że po raz pierwszy odwiedziłem Lubiąż w czasach, gdy Siorek był oficerem SB tropiącym "wrogów ustroju", a jego poglądy na temat wojennych tajemnic ziem dolnośląskich nie były rozpowszechniane przez prasę, telewizję i książki. Otóż tamtego słonecznego, wrześnieowego dnia zajrzałem do "Odrzanki" w Lubiążu, by się posilić i odpocząć po ponad godzinnej jeździe zatłoczonym autobusem PKS i kilkogodzinnym spacerze po wiosce i jej okolicach. W pewnym momencie do mojego stolika przysiadł się jakiś nieco podchmielony mężczyzna i tymi słowy zagaił rozmowę:

- Czy pan wie, że my siedzimy na trupach...

Odruchowo spojrzałem na podłogę, a on kontynuował:

- W czasie wojny była tu wielka fabryka podziemna. Ona jeszcze jest. O, tu - i postukał butem o podłogę. - Gdy w czterdziestym piątym zbliżali się Rusczy, hitlerowcy zamaskowali wszystkie wejścia do podziemi, żywcem grzebiąc tysiące pracujących tu robotników. I nie tylko ich. Ukryto tu złoto i inne kosztowności zrabowane Żydom. Panie, tu pod ziemią jest ogromny majątek i nikt się tym nie interesuje. Tytko od czasu do czasu spotyka się u nas samochody z RFN-u. To są niby turyści, ale bardziej węższą po okolicy niż zwiedzają zabytki. Niektórzy po polsku wypytują nawet miejscowych, czy słyszeli o jakichś podziemiach...

Fantazje człowieka liczącego na postawienie kieliszka wódki przez naiwnego słuchacza? W każdym razie opowieści o ukrytej fabryce i zgromadzonych tam skarbach krążą po Lubiążu i okolicach od dawna. Dlaczego zatem nie odzyskano wejść do tej fabryki? Wydaje się, że albo nikt z decydentów nie wierzy w podlubiąskie podziemia, albo ktoś nadal strzeże tajemnic dolnośląskiego skarbcza Rzeszy. Gdy na początku lat siedemdziesiątych próbowano spenetrować pohitlerowskie fabryki podziemne w okolicach Kamiennej Góry, przedsięwzięcie to zostało storpedowane przez ludzi zajmujących wysokie stanowiska w administracji PRL. Kim byli? Komu służyli? Niemcom? Dowody, jeśli rzeczywiście je zgromadzono, pozostały w przepastnych archiwach dawnej Służby

Bezpieczeństwa, Dziennikarzowi pozostają tylko poszlaki i trudne często do zweryfikowania pogłoski.

W każdym razie ludzie stojący na straży sudeckiego skarbcza Rzeszy w zdecydowanej większości mieli pochodzić ze Śląska. Fałszując życiorysy, a zwłaszcza zatajając fakt służby wojskowej w Wehrmachcie lub innych formacjach zmilitaryzowanych III Rzeszy, wstępowali do PPR a potem PZPR, Otwierało to im możliwości zrobienia karier w Polsce Ludowej. Jeden z nich zaszedł nawet bardzo wysoko, niemal na szczyty władzy. Inni zadowalali się nieco skromniejszymi stanowiskami wiceministrów i dyrektorów departamentów, zwłaszcza w resorcie, bez którego zgody nic było możliwe przeprowadzenie prac poszukiwawczych na większą skalę. Jeden z tych dygnitarzy od lat przebywa w Niemczech, pobierając tam emeryturę w tej samej wysokości co byli członkowie rządów Republiki Federalnej. Jego ucieczka z Polski była swego czasu starannie tuszowanym skandalem na najwyższych szczeblach władz PRL...

Na czyje jednak polecenie przerwano zainicjowane przez Czesława Kiszcza poszukiwania wejść do fabryki podziemnej w Lubiążu pod koniec 1986 roku? Logiczna odpowiedź brzmiałaby - na polecenie ówczesnego premiera, który mógł przecież wpłynąć na zmianę decyzji jednego z ministrów swego rządu. Nie ma na to Jednak żadnych dowodów, a śląskie pochodzenie profesora Zbigniewa Messnera o niczym jeszcze nie świadczy. A może na polecenie rezydenta KGB? Pozostał tylko taki, że żołnierzy z jednostki MSW odwołano do koszar wtedy, gdy poszukiwania zaczęły rokować sukces. Czyżby zbyt blisko podeszli do miejsca, które dla Polaków powinno na zawsze pozostać tajemnicą?

To ostatnie zdanie można i chyba należy interpretować na co najmniej dwa, jeśli nie trzy sposoby. Ową tajemnicą mogą być rzeczywiście po hitlerowskie podziemia z ukrytymi tam skarbami, ale równie dobrze szkielety tysięcy żołnierzy radzieckich, którzy wracając z niemieckiej niewoli właśnie w Lubiążu zostali zamordowani. Przez swoich, nie przez obcych. No i ziemia lubiąska kryć może i jednych i drugich.

Kto rozwiąże zagadkę pocysierskich lochów?...

TAJEMNICA BORÓW TUCHOLSKICH

Gdybym przed wyjazdem do Inowrocławia nie przestudiował planu miasta, zapewne nie trafiłbym na ulicę Kwiatową. To krótka uliczka w peryferyjnej dzielnicy zwanej Mątłami. Po jej lewej stronie rozciągają się ogródki działkowe, po przeciwnej zaś stoi kilka budynków. Dwa pierwsze od strony ulicy Poznańskiej wybudowano zapewne w okresie międzywojennym, a może nawet wcześniej. W każdym razie stały już one w czasie drugiej wojny światowej. Był jeszcze trzeci, bliźniaczo do tamtych podobny. Na jego miejscu postawiono później domek jednorodzinny. Właśnie poprzednik tego domku sprowadził mnie tutaj. Ów budynek bowiem dosłownie zmiotła z powierzchni ziemi potężna eksplozja. Próbując wyjaśnić tę tajemniczą eksplozję trzeba cofnąć się pamięcią do wydarzeń z lat okupacji hitlerowskiej. I do Inowrocławia, który przechrzczony przez Niemców na Hohensalza był wówczas stolicą jednej z trzech (obok Poznania i Łodzi) rejencji wchodzących w skład Okręgu Rzeszy - Kraj Warty (Reichsgau Wartheland).

Był poniedziałek, 13 listopada 1944 roku. W ten jesienny dzień życie w okupowanym Inowrocławiu toczyło się w wojennych warunkach biedy i niedostatku. Odczuwali to zwłaszcza Polacy, chociaż ogłoszona przez hitlerowców wojna totalna dawała się też coraz bardziej we znaki i niemieckiej, w przeważającej mierze napływowej ludności miasta. Na potrzeby frontu wschodniego pełną parą pracował inowrocławski węzeł kolejowy, po ulicach centrum miasta normalnie kursowały tramwaje, górnicy miejscowej kopalni wydobywali solankę w warzelniach zamienianą na sól. Nic nie zwiastowało tragedii, która miała wydarzyć się tego właśnie dnia.

Dochodziła godzina jedenasta w południe, gdy miastem wstrząsnęła silna eksplozja. Gdy rozwiął się dym, gdy opadły tumany kurzu i piasku, okazało się, że budynek mieszkalny przy ówczesnej Rungestrasse, obecnej ulicy Kwiatowej, przestał istnieć. Pod zwałami gruzów zginęło dziewięć przebywających tam akurat osób: 54-letnia Katarzyna Mielcarek-Małachowska i Salomea Szumacher oraz nieznaną z nazwiska siedmioosobowa rodzina niemiecka z Berlina, przebywająca ponoć w Inowrocławiu w odwiedzinach. Skutki eksplozji przeżył tylko 14-letni wówczas Jan Małachowski, który akurat przebywał na poddaszu budynku przy Rungestrasse 12. Siła wybuchu odrzuciła go wraz z częścią konstrukcji dachowej na pobliskie ogródki działkowe, gdzie nieprzytomnego i ciężko poturbowanego odnaleźli sąsiedzi.

- Mieszkałam tutaj w czasie okupacji, ale nie na tym osiedlu, lecz tam, za górką - napotkana na ulicy Kwiatowej starsza niewiasta pokazuje ręką w kierunku centrum Inowrocławia - Na tym osiedlu mieszkali prawie sami Niemcy, Polaków było niewiele. Ten straszny wybuch pamiętam, W całej okolicy wszystkie szyby wyleciały z okien, a na stacji kolejowej w Mątłach spadająca cegła

zabiła mężczyznę. Jeszcze długo po wojnie wszędzie tutaj leżały porzucane części murów tego budynku.

Huk towarzyszący eksplozji słyszany był w odległym o około 30 kilometrów od Inowrocławia Mogilnie. Podczas okupacji mieszkała w tym mieście Jadwiga Łuczak:

- Zarówno wśród Polaków, jak i wśród Niemców krążyły wtedy pogłoski, że na Inowrocław spadła jakaś "cudowna broń". I to broń niemiecka.

Wróćmy jednak do Inowrocławia, Spacerujący ulicą Poznańską starszy mężczyzna, zagadnięty o tajemniczą eksplozja zaprzecza:

- Nie, nie mieszkalem m wtedy. Do Inowrocławia przeprowadziłem się w czterdziestym szóstym, ale sprawę znam ze słyszenia. Zaraz po wojnie często mówiło się o tym w gronie sąsiadów. To była "Wunderwaffe zwei", która trafiła w ten dom. Wystrzelili ją Niemcy gdzieś z lasów koło Tucholi Chcieli chyba trafić w pobliski obóz jeńców rosyjskich i gdyby ta "Wunderwaffe zwei" poleciała coś z 500 metrów dalej, trafiłaby w ten obóz...

Z tym obozem to, rzecz jasna, bezkrytycznie powtarzana plotka. Ważne jest to że już podczas wojny mieszkańcy Inowrocławia i okolic zaczęli kojarzyć eksplozję na ulicy Kwiatowej ze skutkami działania hitlerowskiej Wunderwaffe - owej "cudownej broni", która miała zmienić katastrofalnie już wówczas niekorzystny dla III Rzeszy przebieg wojny- O Wunderwaffe, zwanej też bronią odwetową, pisały wtedy, bez podawania bliższych szczegółów, gazety hitlerowskie. O broni tej publicznie mówili również niektórzy prominenci reżimu nazistowskiego, chcący w ten sposób podtrzymać ducha oporu w zmęczonym przeciągającą się wojną społeczeństwie niemieckim. I nie były to wcale czcze przechwałki. Niemcy hitlerowskie rzeczywiście dysponowały - nowoczesną na tamie czasy bronią raketową. Czy jednak możliwe jest, że w budynek na inowrocławskich Malwach trafił zabłąkany pocisk V2 z tych, które jesienią 1944 roku Niemcy wystrzelili w kierunku Londynu? Wprawdzie zmiana kierunku lotu pocisku była możliwa ze względu na liczne usterki, zwłaszcza jej urządzeń sterowniczych, lecz w żadnym wypadku rakietka taka nie doleciałaby do Inowrocławia z okolic Hagi, gdzie znajdowały się główne wyrzutnie. Wszak jej maksymalny zasięg wynosił 330-350 kilometrów.

Skąd zatem wystrzelono raketę, która trafiła w budynek na inowrocławskich Malwach? Skąd wystrzelowano rakietki, które głównie w drugiej połowie 1944 roku Spadały na pola, lasy, zagrody i osiedla różnych regionów okupowanych ziem wchodzących w skład Kraju Warty?

*

Po zbombardowaniu w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 roku tajnego ośrodka hitlerowskiej broni raketowej w Peenemuende na wyspie Uznam, produkcję i doświadczenia z bombami latającymi V-1 i raketami V-2 trzeba było przenieść w inne, niedostępne dla aliantów miejsca, I szybko znaleziono takie. Produkcję

wielu części i montaż pocisków rakietowych V-2 przeniesiono do fabryki podziemnej, zwanej "Dora-Mittelbau", wykutej w skałach Gór Harcu koło Nordhausen. Funkcjonowała ona praktycznie aż do końca wojny. Natomiast poligon doświadczalny rakiet V-2 przeniesiono do Generalnego Gubernatorstwa, w okolicie miejscowości Blizna i Pustków koło Mielca.

Lokalizacja tego poligonu nasuwa od razu następujące pytanie. A gdzie przeniesiono go po wkroczeniu na Rzeszowszczyznę Armii Czerwonej, co nastąpiło późnym latem 1944 roku? Bowiem już 20 lipca tegoż roku wyrzutnie rakiet na poligonie koło Mielca rozmontowano i częściowo wysadzono w powietrze. Miesiąc później - 23 sierpnia - na te tereny wkroczyli żołnierze radzieccy, a Józef Stalin, po kilkakrotnie ponawianych prośbach Winstona Churchilla, zgodził się wreszcie, by pozostałe na poligonie budowle i urządzenia byłego ośrodka rakietowego mogli zbadać specjaliści brytyjscy.

Hitlerowską bronią z serii V interesowali się bowiem przede wszystkim Anglicy, którzy nie zamierzali już popełnić błędu z pierwszych miesięcy wojny. Wszak to właśnie szefowie wywiadu Królestwa nic nie uwierzyli w otrzymany jesienią 1939 roku z Oslo tajemniczy, chociaż bardzo szczegółowy raport o nowych rodzajach broni przygotowywanych przez naukowców niemieckich, w tym też i broni rakietowej, Anglicy uznali, że jest bardzo mało prawdopodobnym, by jeden człowiek, który - jak się wydawało - sporządził ów raport, mógł znać tyle szczegółów technicznych objętych najściślejszą tajemnicą Rzeszy. Raport powędrował więc do archiwum wywiadu brytyjskiego i rychło o nim zapomniano. Dopiero w następnych latach okazało się, że wojska hitlerowskie podczas działań wojennych coraz częściej używają takich rodzajów nowych broni, które opisywał raport nadesłany na początku wojny ze stolicy wolnej jeszcze wtedy Norwegii. Szefowie wywiadu brytyjskiego nie uwierzyli też zrazu w pierwsze informacje nadesłane przez wywiad Armii Krajowej, a dotyczący właśnie ośrodka rakietowego w Peenemuende. Dopiero gdy z okupowanej Polski zaczęły nadchodzić coraz bardziej szczegółowe meldunki wywiadowcze na ten temat, Anglicy zdecydowali się wysłać nad wyspę Uznam samoloty wyposażone w kamery fotograficzne, Po uważnej analizie zdjęć lotniczych zdębieli. Otóż zarówno raport z Oslo nie kłamał, jak i informacje wywiadu AK były prawdziwe.

Raz uchwyconej nici Anglicy już nie wypuścili z rąk. Zaś latem 1944 roku stało się dla nich oczywistym, że w przypadku masowego użycia broni rakietowej, cele dla startujących pocisków V-2 znajdować się będą na wyspach brytyjskich. Wszak właśnie latem tegoż roku poza zasięgiem broni V znalazły się główne skupiska miejskie i ośrodki przemysłowe Związku Radzieckiego, nie wspominając już o dalekich Stanach Zjednoczonych Ameryki, chociaż po wojnie ujawniono, iż Niemcy rozpatrywali możliwości terrorystycznego ostrzelania Nowego Jorku pociskami rakietowymi wystrzeliwanymi z okrętów podwodnych.

Przypuszczenia Anglików okazały się trafne po tym, jak z rozkazu reichsfuehrera SS Heinricha Himmlera, nadzorujący doświadczenia z bronią raketową gruppenfuehrer SS dr inż. Hans Kammler podjął decyzję rozpoczęcia ofensywy za pomocą pocisków V-2. 8 września 1944 roku rozpoczął się raketowy ostrzał Londynu. Pociski te użyto również przeciwko Belgii, ostrzeliwując nimi wyzwolone przez aliantów miasta: Antwerpię i Brukselę. Jeszcze wcześniej, bo w nocy z 15 na 16 czerwca tegoż roku, na Anglię spadły pierwsze bomby latające V-1, które faktycznie były bezpilotowymi samolotami odrzutowymi, uzbrojonymi w ładunek wybuchowy. Jeśli jednak piloci brytyjscy, w tym również Polacy służący w RAF, szybko nauczyli się zwalczać V-1, to już na rakietach V-2 nie było żadnego sposobu. Nagle spadały z nieba z ponaddźwiękową szybkością, siejąc śmierć i zniszczenia.

Wojskowi brytyjscy żywo zatem interesując się przebiegiem doświadczeń z hitlerowską bronią raketową, od czasu do czasu wysyłali bombowce nad częściowo odbudowane Peenemuende oraz za pośrednictwem agentów wywiadu poszukiwali inne miejsca, gdzie produkowano części do V-1 i V-2, gdzie magazynowano zmontowane pociski i przeprowadzano próby. I znaleziono niektóre z takich miejsc. Nas interesować tutaj będzie pojawiające się w niektórych meldunkach wywiadowczych słowo Schneidemuehl. Rozszyfrujmy tę niemiecką nazwę położonego na północy Wielkopolski miasta. To Piła. Tam właśnie miało w roku 1944 powstać centrum wyszkolenia broni raketowej, zajmujące się formowaniem ekwipowaniem i szkoleniem jednostek obsługujących wyrzutnie V-2.

Tajemniczymi eksplozjami hitlerowskiej "cudownej broni" w Wielkopolsce zajmował się przed laty dr Zenon Szymankiewicz z Poznania, który plon swych zainteresowań opublikował w numerze 4 z 1977 roku "Kroniki Wielkopolski". On to odnalazł świadka, który pośrednio potwierdził fakt urządzenia wspomnianego centrum wyszkolenia broni raketowej w Pile. Otóż Leon Buda, bo o nim to mowa, wkrótce po zajęciu Piły przez Armię Czerwoną w lutym 1945 roku znalazł się w tym mocno zniszczonym mieście. Tam w jednym z pomieszczeń koszarowych dostrzegł na ścianie mapę regionu nadnoteckiego z oznaczeniami, które odpowiadały znanym Budzie miejscom wybuchów pocisków V w ówczesnym powiecie chodzieskim, wchodzącym w skład rejencji poznańskiej Kraju Warty, W tej izbie koszarowej wśród walających się papierów znalazł również instrukcje z rysunkami pocisków raketowych.

Tyle Buda. Najprawdopodobniej jednak izbę tę wcześniej przetrząsnęli czerwonoarmiści, którzy mogli usunąć wszystkie ewentualnie pozostawione przez Niemców materiały na temat broni raketowej. A Rosjanie wiedzieli, że śladów rakiet V-2 należy szukać również w tych okolicach...

W każdym razie agenci wywiadu brytyjskiego meldowali, że magazyny rakiet Niemcy zlokalizowali w lasach kilkadziesiąt kilometrów na północ od Piły. Baza ta - ich zdaniem - obsługiwała wszystkie jednostki broni raketowej, które podlegały bezpośrednio reichsfuehrerowi SS, a nie dowództwu wojskowemu.

"Baterie V-2 składają się z trzech rakiet - brzmiał jeden z meldunków. - Transport odbywa się na specjalnych ciągnikach. Rakiety w momencie wystrzału oddalone są od siebie o trzy kilometry. Etatowa obsługa jednej rakiety - 32 ludzi. Każda bateria broniona jest przez grupę czołgów".

*

W czwartek, 3 sierpnia 1944 roku, inspektor Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa SS w okupowanym Poznaniu przesłał do urzędu namiestnika Rzeszy w Kraju Warty meldunek o wybuchu "bomby latającej" w pierwszym dniu tegoż miesiąca o godzinie 1430 na polu powożonym 5 kilometrów na zachód od wsi Dęby Szlacheckie (12 kilometrów na północ od Kola). W meldunku znalazły się stwierdzenia, że w wyniku eksplozji powstał lej o średnicy 25 i głębokości 10 metrów oraz że znalezione odłamki wskazują na niemieckie pochodzenie pocisku. Inspektor donosił również, że w czasie eksplozji nic słyszano i nie widziano przelatujących nad tą okolicą samolotów...

Meldunek inspektora policji pozostał bez odpowiedzi i nie wiadomo nawet, czy urząd namiestnika podjął jakiegokolwiek starania w celu wyjaśnienia tego zdarzenia. Tymczasem wieści o nagłych, tajemniczych eksplozjach zaczęły nadchodzić z różnych stron Kraju Warty.

„... Lata okupacji spędziłem w Tuliszkowie, obecnie w wojewódzkie konińskim - napisał do mnie w 1988 roku H. Kruczkowski z Poznania. – W 1944 roku miałem 12 lat Pamiętam, jak pewnego piątkowego dnia znalazłem się na tak zwanej Targowicy, gdzie odbywał się skup zwierząt rzeźnych, w pewnej chwili ktoś krzyknął i wskazał ręką w kierunku północno-wschodnim, gdzie zauważyliśmy duże czerwone "cygaro". To "cygaro" spadło około 400-500 metrów od Targowicy, żłobiąc duży dół. Ziemia przysypała kilkoro polskich dzieci, które znajdowały się w pobliżu pod słomianym szatasem zwanym budą. Tegoż dnia, ale po południu, podobna bomba spadła za dzielnicą Tuliszkowa, zwaną Piaskami. Rozerwała się chyba w powietrzu i przez to nie wyłobila w ziemi większego dołu, ale aluminiowe szczątki tej bomby rozleciały się w okolicy w promieniu kilku kilometrów. Ja w tym czasie stałem w kolejce przed sklepem Niemca Andersa i przypatrywałem się w szybie okiennej. Gdy przelatywała bomba, to w szybie zauważyłem wielki ogień i mocno się przestraszyłem...

Następnego dnia była sobota. Wieczorem około godziny 22 bomba spadła na gospodarstwo w Sarbicku, to jest około 3 kilometrów na południe od Tuliszkowa. Na skutek pożaru całe miasteczko Tuliszków było oświetlone, że na ziemi można było znaleźć nawet przysłowiową igłę. Zginął wtedy jeden Polak pracujący u Niemca i spłonęło gospodarstwo.

Następnego dnia przed południem, a była to niedziela, bomba spadła na gospodarstwo w miejscowości Bagna, również około 3 kilometrów od Tuliszkowa, ale w kierunku zachodnim. Spłonęło całe gospodarstwo, a ja widziałem, jak le-

żały na ziemi spalone, a raczej upieczone świnie, które można było kroić na kawałki i jeść.

Polem jeszcze spadła bomba w okolicy Ogorzelczyna, czyli również około 3 kilometrów od Tuliszkowa, ale w kierunku wschodnim, lecz poza wyłobieniem dużego dołu nie wyrządziła poważniejszych szkód. Słyszałem, że podobne bomby spadły i na inne miejscowości, w tym i w Turku, gdzie zginęło kilka osób.

Dodam jeszcze, że w Tuliszkowie była trzypiętrowa szkoła, która podczas okupacji służyła wojsku niemieckiemu. Na dachu tej szkoły stała budka, a w niej zlokalizowany był punkt obserwacyjny, z którego prawdopodobnie przekazywano informacje gdzieś dalej, ponieważ po prawie każdym upadku bomby przylatywał na miejsce lekki samolot. Osoby, które tym samolotem przylatywały, dokonywały oględzin, sprawdzały skutki wybuchu i coś tam sobie pisały..."

W moim domowym archiwum przechowuję także list, który również w 1988 roku napisał Jan Walczak z Szamocina, Oto jego fragmenty:

"Podczas okupacji byłem przymusowo zatrudniony u Niemca w gospodarstwie rolnym we wsi Heliodorowo, która obecnie znajduje się w gminie Szamocin w wojewódzkie pilskim. Czytając artykuły o broni V-2 przypomniałem sobie, że podobny pocisk eksplodował w tutejszej okolicy na polu niedaleko wsi Borówki w pobliżu szosy Szamocin - Lipia Góra, około kilometra od Heliodorowa. (...) Miedzy godziną 17 a 18 przebywałem na podwórku przygotowując obrok dla koni, kiedy nagle usłyszałem ogromny szum, któremu towarzyszył poryw wiatru, a na niebie ukazała się luna, jak gdyby od pożaru. Następnie usłyszałem potworną detonację. Od mego gospodarza dowiedziałem się, że to była rakiet, która zmyliła tor lotu. Policja niemiecka, która przyjechała na miejsce eksplozji, usunęła wszystkie pozostałe po rakiecie szczątki. Przedtem jednak miałem okazję obejrzeć kawałek blachy z rakiety. Była to dość gruba blacha aluminiowa. Widziałem również lej po eksplozji".

Na podstawie wspomnień innego świadka tego zdarzenia - Kazimierza Kłiszewskiego Zenon Szymankiewicz ustalił, że silna eksplozja wstrząsnęła Heliodorowem najprawdopodobniej 7 grudnia 1944 roku.

- W sumie - mówi Z. Szymankiewicz - jak udało mi się ustalić na podstawie zeznań świadków, aktów zgonu, dokumentów milicyjnych i własnych badań terenowych, na ziemi Wielkopolski w ostatniej fazie wojny spadło około 45 rakiet. Nie jest to na pewno liczba ostateczna, ponieważ część z nich eksplodowała też na wchodzącej w skład Kraju Warty Ziemi Sieradzkiej gdzie nie przeprowadzałem badań. Spoglądając na sporządzoną przeze mnie mapę upadku pocisków V można zaryzykować twierdzenie, że Niemcy kierowali je na tereny leżące w widłach Warty i Proсны, na pogranicze obecnych województw: kaliskiego, konińskiego i sieradzkiego, zwłaszcza między Grabów nad Prosną a Sieradz, głównie w okolice wsi Blaszk, a także na północny wschód od Pleszewa, ponieważ w tych rejonach zanotowano najwięcej tajemniczych eksplozji, Usłyszałem też, że podczas eksplozji zginęło pięć osób, nie licząc tych, którzy ponieśli śmierć pod gruzami domu w Inowrocławiu-Mątwach, 21 września 1944

roku w Turku zginęły: 57 -letnia Stanisława Czerniak i 20-letnia Zofia Adamczak oraz jedna kobieta narodowości niemieckiej. Natomiast na początku stycznia 1945 roku we wsi Dzięcioły, 15 kilometrów na wschód od Grabowa nad Prosną, zginęło małżeństwo Władysławy i Franciszka Desków. Przebywające w walącym się domu ich dzieci ocalały, ukrywając się pod masywnym stołem. W niektórych przypadkach osoby przebywające w pobliżu miejsc eksplozji rakiet odniosły obrażenia.

Jeśli spostrzeżenia 12-letniego wtedy Kruczkowskiego są prawdziwe, to do wspomnianej przez Szymankiewicza listy ofiar śmiertelnych trzeba byłoby doliczyć nieznanego z nazwiska Polaka z Sarbicka koło Tuliszkowa.

Spoglądając raz jeszcze na mapę sporządzoną przez Zenona Szymankiewicza można zauważyć również dwa inne, chociaż bardziej rozproszone miejsca upadku pocisków V w okupowanej Wielkopolsce. Są to tereny na północ od Konina i Koła oraz okolice Chodzieży. Ponadto pojedyncze rakiety spadły na inowrocławskie Mątwy oraz w pobliżu Obrzycka. Ten ostatni z wymienionych pocisków eksplodował najbliżej Poznania, bo zaledwie w odległości 40 kilometrów w linii prostej od stolicy Kraju Warty.

*

Podczas okupacji hitlerowskiej Franciszek Bera z Bydgoszczy pracował jako pomocnik niemieckiego maszynisty, jeżdżąc parowozem między innymi na trasie Gdynia - Bydgoszcz przez Kościerzynę. Na tej trasie leży niewielka miejscowość - Wierzchucin.

W 1944 roku pomocnik maszynisty często obserwował na stacji w Wierzchucinie żołnierzy niemieckich, którzy bez względu na porę roku chodzili w długich kozuchach sięgających do kostek. Zauważył też stojące na bocznych torach 25-tonowe węglarki przykryte plandekami. Polskiego kolejarza zainteresowało jednak to, że szczyty tych wagonów były od dołu odchylone na około 20-30 centymetrów, *"Pewnego dnia - wspominał po 43 latach w liście opublikowanym na łamach wychodzącego w Bydgoszczy "Ilustrowanego Kuriera Polskiego" - miałem szczęście zobaczyć z kabiny maszynisty pocisk dużych rozmiarów (nazwy tego pocisku jeszcze nie znałem) na węglarce. Był on dłuższy niż węglarka i dlatego szczyty wagonu były od dołu odchylone... Od miejscowych kolejarzy-Polaków dowiedziałem się, że w Borach Tucholskich, niedaleko Wierzchucina, Niemcy mają wyrzutnie..."*.

Uzupełniając tę relację warto dodać, że długie kozuchy chroniły żołnierzy przed odmrożeniami w przypadku zetknięcia się ze zbiornikami płynnego tlenu, stosowanego wraz z alkoholem jako środek napędowy rakiet V-2.

"...Na stacji Wierzchucin - wspominał dalej F. Bera - zawsze zgodnie z planem pobieraliśmy wodę do tendra. Żuraw wodny znajdował się, mniej więcej naprzeciw budynku stacyjnego. W czasie tego postoju zauważyłem kilku żołnierzy niemieckich, znowu ubranych w te długie kozuchy, którzy stali na peronie. W

pewnym momencie usłyszałem huk, a później szum. Z lewej strony torów, patrząc w kierunku północnym znad lasu wyłonił się pocisk, który z ogromną szybkością wzbijał się coraz wyżej. W tym momencie jeden z żołnierzy powiedział te słowa, które zapamiętałem w tłumaczeniu na język polski - ten spadnie- I rzeczywiście, po paru sekundach pocisk zamiast wzbijać się w górę, zaczął opadać. Według mnie musiał spaść dość daleko, ponieważ nie było słychać detonacji ani innego zjawiska świadczącego o eksplozji. Kiedy już mieliśmy "wyjazd" do Bydgoszczy, znowu z tego samego miejsca widać było wznoszący się bardzo szybko pocisk. Tym razem żołnierz powiedział - ten jest dobry... Po paru sekundach, gdy pocisk zniknął w oddali, nastąpił drugi wybuch, który chyba nadał pociskowi drugą prędkość”.

Podczas wojny w rozległych kompleksach leśnych Borów Tucholskich operowały oddziały partyzanckie Armii Krajowej. Dowódcą jednego z nich był inżynier Jan Sznajder, noszący wtedy pseudonimy: "Jaś" i "Dąb", który po latach wspominał, że w roku 1944 Niemcy wysiedlili wszystkich Polaków z okolic wsi Wierzchucin. Opróżniony teren został ogrodzony i obstawiony licznymi posterunkami. Wywiad partyzancki doniósł, że w tym strzeżonym rejonie zaczęto wznosić różne obiekty o nieznanym przeznaczeniu. Wybudowano również tor kolejowy z rampami, przy których zaczęły się pojawiać wagony z trudnymi do zidentyfikowania "rurami", okutymi płachtami.

Budowa tego tajemniczego ośrodka ruszyła na krótko przed rozpoczęciem likwidacji urządzeń na poligonie doświadczalnym rakiet V-2 w pobliżu miejscowości Blizna i Pustków na Rzeszowszczyźnie. Wniosek nasuwa się zatem sam. Z tego zagrożonego przez Armię Czerwoną rejonu Generalnego Gubernatorstwa właśnie w Bory Tucholskie przenieśli Niemcy swój raketowy poligon doświadczalny. Niektóre materiały źródłowe podają, że nosił on kryptonim "Wrzos".

Gdzieś w połowie 1944 roku w bunkrze partyzanckim, znajdującym się około 25 kilometrów od strzeżonego rejonu, usłyszano odgłosy silnych wybuchów. Zrazu dochodziły one do uszu partyzantów rzadko, potem coraz częściej, a najwięcej odgłosów wydawanych przez startujące rakiety słyszano we wrześniu i październiku. Także i później, aż do pierwszych dni stycznia 1945 roku, od strony Wierzchucina nadchodziły co jakiś czas efekty dźwiękowe przeprowadzanych tam doświadczeń z bronią V Według relacji J. Sznajdera, będącej w posiadaniu Zenona Szymankiewicza, partyzanci obserwowali też wznoszące się pionowo w górę rakiety, ciągnące za sobą charakterystyczną smugę ognia. Na dużej wysokości gwałtownie zmieniały one tor z pionowego na poziomy, oddalając się w kierunku południowym lub południowo-wschodnim.

Wszystkie uzyskane informacje na temat ośrodka w Wierzchucinie żołnierze AK przekazali zwiadowcom Samodzielnego Szturmowego Batalionu Specjalnego Wojska Polskiego, operującym w tym czasie w Borach Tucholskich pod dowództwem porucznika Kazimierza Waluka. Informacje te zwiadowcy polscy przekazali drogą radiową swemu dowództwu, stacjonującemu za linią frontu

wschodniego. Rychło też radiostacja grupy zwiadowczej odebrała zaszyfrowane podziękowania za tak cenne informacje, które przekazano sojusznikom radzieckim. Dowództwo Armii Czerwonej musiało zatem znać nie tylko lokalizację ośrodka w Wierzchucinie, ale także wiedzieć, przynajmniej ogólnikowo, czym tam się Niemcy zajmują.

Przed wszystkim przeprowadzali tam doświadczenia z wystrzeliwaniem rakiet V-2 z ruchomych platform kolejowych, przy okazji szkoląc załogi wyrzutni. Ruchome wyrzutnie kolejowe były bardzo trudne do zlokalizowania i zniszczenia przez lotnictwo nieprzyjaciela, i takie właśnie wyrzutnie kursowały na bocznej linii kolejowej Laskowice - Chojnice na odcinku między Wierzchucinem a Tucholą, zwłaszcza zaś w pobliżu stacji Cekcyn, gdzie też często wyładowywano rakiety. W tym czasie część linii kolejowej Laskowice - Chojnice była zamknięta dla normalnego ruchu pociągów.

Czy rakiety wystrzeliwano tylko z wyrzutni kolejowej? Oddajmy głos jeszcze innemu świadkowi, Edmund Barylski z Wrześni napisał do mnie w 1988 roku list, w którym znalazły się między innymi poniższe stwierdzenia:

"W czasie okupacji mieszkałem na Pomorzu w małej wiosce Klonowo, 20 kilometrów na południe od Tucholi i około 15 kilometrów na południowy zachód od Wierzchucina. W 1944 roku miałem dziesięć lat. Będą to więc wrażenia małego wiejskiego chłopaka oraz to, co wówczas usłyszałem od dorosłych. Otóż nad naszym domem często przelatywały rakiety V-1 wystrzeliwane z okolic Wierchucina. Wpierw było słychać huk połączony z detonacją, a za chwilę widać było na niebie przesuwającą się białą smugę, jak przy samolocie odrzutowym. W tym mniej więcej czasie następował drugi huk: dzisiaj domyślam się, że było to w chwili przekraczania przez raketę "bariery dźwięku". Zastanawiałem się, ile takich rakiet wystartowało i jak długo to trwało? Otóż w niektóre dni na pewno było więcej startów niż jeden, wydaje mi się, że w sumie więcej niż sto, najwięcej latem i wczesną jesienią 1944 roku. Natomiast kiedy się to zaczęło, nie jestem już pewien... Jestem jednak pewien, że wszystkie rakiety, które widziałem z okien domu, leciały w tym samym kierunku. Dość często słychać było eksplozję przy starcie, a rakiety nie widziałem. Sądzę że tuż po starcie zmieniała ona kierunek lotu..."

"U nas mówiło się - pisze w innym miejscu E. Barylski - że oprócz wyrzutni na platformie kolejowej w okolicach Wierchucina była budowana wyrzutnia stała. Niemcy obserwowali loty rakiet: w lasach były bowiem punkty obserwacyjne niby to przeciwpożarowe, ale z obsadą wojskową. Najwięcej startów było w dzień, około południa, chociaż były również starty w nocy..."

*

Linie kolejową z Bydgoszczy przez Kościerzynę do Gdyni wybudowano w latach międzywojennych po to tylko, by pociągi jadące do jedyne go wtedy polskiego portu pełnomorskiego omijały terytorium Wolnego Miasta Gdańska.

Niespełna 50 kilometrów od Bydgoszczy leży Wierzchucin, mała wioska, a właściwie osiedle robotnicze pracowników przemysłu drzewnego. Wszak to niemal Środek Borów Tucholskich.

W porównaniu z małym osiedlem niewspółmiernie wielka jest stacja kolejowa. Krzyżują się tu dwie linie: Bydgoszcz - Kościerzyna - Gdynia i Laskowice - Tuchola - Chojnice, W dużym budynku stacyjnym jest nawet bufet.

- *Mieszkam tu dopiero od dwóch lat* - mówi obsługujący podróżnych mężczyzna w średnim wieku - *ale ze słyszenia wiem, że pod koniec wojny Niemcy mieli tu poligon, z którego wystrzelili rakiety, W przewodniku „Bory Tucholskie” pisze, że V-1, ale jak było naprawdę, to mogą panu powiedzieć ci, którzy tu wtedy mieszkali. Żyją jeszcze...*

Miałem chyba pecha, bo nie udało mi się w tej niewielkiej i w dodatku w ów chłodny dzień październikowy wyludnionej miejscowości natrafić na kogoś, kto wiedziałby coś więcej... Jedna tylko staruszka potwierdziła to, co już wiedziałem. Że wszystkich Polaków wysiedlono z Wierzchucina. I że krótko po wojnie *"pełno tu kręciło się Ruskich"*, ale czego szukali, nie wiedziała.

Co tu zostało z lat wojny? Zapewne tylko zaplecze stacji kolejowej, bo jeśli nawet coś w okolicy przetrwało od tamtych czasów, to zainteresowali się tym specjaliści radzieccy, którzy wiedzieli przecież o doświadczeniach przeprowadzanych tu z bronią rakietową. Partyzanci Jana Sznajdera poinformowali wszak o tym oddział porucznika Kazimierza Waluka, Skończyło się na tym, że Sznajdera i jego żołnierzy wywieziono na długie lata w głąb imperium Józefa Stalina, na "białe niedźwiedzie", a okolice Wierzchucina spenetrowali fachowcy radzieccy interesujący się nowymi rodzajami broni.

Te okolice były niemal wymarzonym terenem do przeprowadzania tego typu tajnych doświadczeń. Rozległe kompleksy leśne i rzadko rozrzucone niewielkie miejscowości gwarantowały - zdaniem Niemców - zachowanie tajemnicy. Jak się jednak okazało, złudne to były gwarancje. Zarówno dowództwo Armii Krajowej, jak i wywiady brytyjski i radziecki rozszyfrowali tajemnicę Borów Tucholskich...

*

Do bardzo ciekawego wniosku można dojść wykreślając na mapie Polski linię prostą z Wierzchucina do wsi Blaszkki w Sieradzkim, w której okolicach zanotowano najwięcej eksplozji pocisków V Otóż linia ta przecina inowrocławskie Mątwy, szosę Ślesin - Konin, przebiega przez okolice Tuliszkowa, a także ociera się o Turek. Tym samym mamy wręcz gotowy wniosek. Nie wszystkie z kierowanych w rejon wsi Blaszkki rakiet doleciały do celu. Przyczyn licznych awarii pocisków V-2 można się domyślać. W podziemnej fabryce "Dora-Mittelbau" koło Nordhausen w Górach Harcu, gdzie przy montażu rakiet pracowali przede wszystkim więźniowie obozu koncentracyjnego, na gigantyczną wręcz skalę uprawiano sabotaż. Więźniowie uszkadzali głównie precyzyjne urządzenia sterownicze V-2 oraz napędowe zespoły systemu sterującego.

Uszkodzenia te robiono z czasem z taką wprawą, że nie była w stanie ich wykryć nawet bardzo szczegółowa kontrola techniczna. Usterki te ujawniały się dopiero podczas startu lub w czasie lotu rakiety.

Gdy zaś wspomnianą linię poprowadzimy dalej na południe, mamy gotową odpowiedź na kolejne z nasuwających się pytań. Dlaczego Niemcy nie wykorzystywali maksymalnego zasięgu rakiet V-2, wynoszącego 330-350 kilometrów? Wszak z Wierzchucina do Blaszek jest w linii prostej zaledwie 250 kilometrów. Otóż w takich przypadkach rakiety te spadałyby na tereny tak zwanej "starej Rzeszy" (tym mianem określano ziemie wchodzące w skład Rzeszy Niemieckiej według granic z 1937 roku), nieco na wschód od Opola, rażąc różne obiekty w mocno uprzemysłowionym regionie śląskim.

Najtrudniej będzie znaleźć odpowiedź na jeszcze jedno pytanie. Czy z okolic Wierzchucina wystrzelivano tylko rakiety V-2, czy może również bezpilotowe samoloty o napędzie odrzutowym V-1? Michał Wojewódzki, autor książki "Akcja V-1, V-2", w której niemal całkowicie pominął doświadczenia z bronią V przeprowadzane w drugiej połowie 1944 roku w Borach Tucholskich, twierdzi, iż w dostępnych mu dokumentach z lat drugiej wojny światowej nie znalazł wzmianki o testowaniu V-1 na okupowanych ziemiach polskich. Niemniej znalazł on świadka, który upierał się, iż z poligonu Blizna - Pustków wystrzelivano też pociski V-1, Czy i w Wierzchucinie eksperymentowano z tym rodzajem "cudownej broni"? Chyba nie. Partyzanci J. Sznajdera widzieli przecież startujące pionowo w górę rakiety, a nie wyrzucane ze specjalnej katapulty bezpilotowe samoloty V-1.

Ponadto w tym czasie, kiedy czynny był ośrodek doświadczalny w Wierzchucinie, broń V-1 stosowano już w akcjach bojowych. Najbardziej natomiast intensywny okres prób na poligonie w Borach Tucholskich poprzedził bojowe zastosowanie rakiet V-2. Wprawdzie dwie pierwsze z nich wystrzelono już 6 września 1944 roku w kierunku stolicy Francji i obie do Paryża nie doleciały, to jednak raketowy ostrzał Londynu i innych miast rozpoczął się na dobre jesienią tegoż roku i trwał do końca marca roku następnego.

Również trudno sobie wyobrazić, by na jednym poligonie doświadczalnym przeprowadzano eksperymenty z obu rodzajami "cudownej broni", zwłaszcza zaś z wymagającymi wspomnianej katapulty V-1, Owa katapulta była przecież łatwa do zlokalizowania przez samoloty zwiadowcze przeciwnika i tym samym jej zniszczenia. Przy okazji można byłoby zniszczyć wyrzutnie rakiet V-2 Na to zaś Niemcy w tej fazie wojny nie mogli sobie pozwolić. Skąd zatem wzięła się uparcie krążąca pogłoska, pojawiająca się również w publikacjach naukowych i popularnonaukowych, by pominąć już nawet przewodnik turystyczny po Borach Tucholskich, że tereny Kraju Warty raziała także, a może przede wszystkim broń V-1? Wzięła się – Jak sądzę - z porównań zdjęć skutków eksplozji rakiet V-2 w centrum Londynu z relatywnie mniejszymi zniszczeniami na przykład w Inowrocławiu czy Turku. Wszak rakietą, która spadła na inowrocławskie Mątwy, zmiotła wprawdzie z powierzchni ziemi Średniej wielkości budynek, ale poza

wybiciem szyb i uszkodzeniem tynku odłamkami gruzów nie zniszczyła poważniej tych stojących w bliskim sąsiedztwie. Tłumaczyć to można tym, iż głowice doświadczalnych rakiet V-2 nie były uzbrojone. A mogły one przenosić prawie tonę silnego materiału wybuchowego. Zaś zniszczenia były tylko skutkiem eksplozji pozostałego w zbiornikach rakiety materiału pędnego.

*

Hitlerowska Wunderwaffe wojny nie wygrała i wygrać nie mogła, ponieważ zbyt późno zastosowano te rzeczywiście nowoczesną na tamte czasy broń. Gdyby Jednak rakiety V-2 użyto w działaniach bojowych kilka miesięcy wcześniej, zdaniem dowódców alianckich nie doszłoby zapewne do inwazji wojsk sprzymierzonych na kontynent lub w najlepszym razie inwazję by opóźniło. Alianci mieli jednak w zanadrzu jeszcze bardziej "cudowną broń" - znajdującą się w ostatnim stadium doświadczeń broń atomową. A że i w III Rzeszy doświadczenia z bronią atomową były mocno zaawansowane, druga wojna światowa mogła zakończyć się masakrą kolejnych milionów ludzi - żołnierzy i cywilów. Masakrą tym większą, że Niemcy mieli już gotowe środki do przenoszenia ładunków atomowych na spore odległości. Właśnie rakiety V-2. I przeto prawie do samego końca przeprowadzali doświadczenia z rakietami, by z jednej strony wyeliminować jak najwięcej usterek i błędów technicznych, a z drugiej, by jak najlepiej poznać broń V-2 w praktycznym zastosowaniu.

W końcu stycznia 1945 roku, gdy czołowe oddziały Armii Czerwonej i 1 Armii Wojska Polskiego niebezpiecznie blisko zbliżyły się do Borów Tucholskich, okolicami Wierzchucina wstrząsnęła potężna eksplozja. W powietrze wysadzone zostały obiekty ośrodka doświadczalnego broni raketowej. Nie przzerwano jednak eksperymentów z V-2. Kontynuowano je za Odrą, w lasach rozciągających się w pobliżu autostrady 111, niedaleko Wolgastu. Czekało już chyba tylko na cud...

*

Namiestnik Adolfa Hitlera w Kraju Warty i jednocześnie gauleiter NSDAP w tej prowincji III Rzeszy - Artur Greiser na procesie, który toczył się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w połowie roku 1946, zapewniał sąd i publiczność poznańską, że nie może odpowiadać za wszystko, co podczas okupacji niemieckiej działo się w Wielkopolsce i na Kujawach. I przykładowo wymienił doświadczenia z bronią raketową. Kłamał? Zapewne nie. Wszak doświadczenia z tą "cudowną bronią" objęte były tak ścisłą tajemnicą, iż nie raczono poinformować o tym szefa partii i administracji hitlerowskiej w Kraju Warty. A sam Greiser jako zdyscyplinowany aparatczyk nazistowski nie pomyślał nawet o tym, by żądać od władz berlińskich jakichkolwiek wyjaśnień, ani

tym bardziej przzerwania raketowego ostrzału ziem, na których z woli fuehrera sprawował niepodzielną władzę.

Eksperymenty z raketami V-2 na poligonie w Wierzchucinie znacznie wykraczają poza jeszcze jedną, nadal okrytą mgiełką tajemnicy sensację z lat minionej wojny. Zakrawają bowiem na dokonywaną z premedytacją zbrodnię wojenną. Wszak doświadczalne pociski z serii V hitlerowcy wystrzelili na tereny oficjalnie wprawdzie włączone do III Rzeszy, lecz w zdecydowanej większości zamieszkałe przez Polaków. I do tysięcy osób, które w ostatniej fazie wojny zginęły w ostrzeliwanych raketami V-2 miastach Anglii i Belgii, doliczyć trzeba i tych, którzy ponieśli śmierć pod gruzami domów w Wielkopolsce i na Kujawach. Byli wśród nich i Polacy, i ziomkowie twórcy raket V-2, profesora Wernera von Brauna. Ówczesni ziomkowie - należałoby dodać - ponieważ profesor po wojnie oddał swoją rzeczywiście nieprzeciętną wiedzę i umiejętności nowym mocodawcom. Zmienił też obywatelstwo. Na amerykańskie. Ale to już inna historia...

DZIAŁO Z MIĘDZYDROJÓW

Stworzył je Alistair MacLean, a rozświetlił John Lec Thompson, twórca filmu "Działa Navarony", który to obraz swego czasu wyświetlano w naszych kinach, a potem kilkakrotnie w telewizji. Faktycznie gigantyczne działa, które oglądaliśmy na ekranach, nigdy nie istniały.

Nigdy?...

- *Przepraszam, słyszała pani o stonodze?* - zagadnąłem niewiastę, która akurat otwierała furtkę małego ogródka położonego tuż nad brzegiem rozległego Jeziora Wieko, kilka kilometrów na południe od Międzyzdrojów,

- *Chodzi panu o te betonowe budowle poniemieckie* – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- *Tak. Gdzie one są?*

- *tu właśnie* -i wskazała na wzgórze oraz stojący u jego podnóża skromny domek, który przed chwilą opuściła- *Nad moim domem. Ale z tej strony pan tam się nie dostanie. Zbyt stromo. Musi pan cofnąć się nieco w kierunku Międzyzdrojów. Tam będzie w miarę łagodne podejście.*

Spojrzałem na to zalesione wzgórze Wolińskiego Parku Narodowego i niczego nie zauważyłem. Lecz właśnie tu, pod gęstą osłoną liściastych drzew, kryje się jedna z wielu tajemnic drugiej wojny światowej. Nie strzegą jej dzisiaj zasieki z drutu kolczastego i uzbrojone po zęby posterunki wartowników w mundurach SS lub Wehrmahtu. Czerwonoarmiści, którzy zajęli wyspę Wolin wczesną wiosną 1945 roku, zbadali zapewne to wzgórze centymetr po centymetrze i zabrali stąd wszystko, co mogło dla nich przedstawiać jakąkolwiek wartość, inna sprawa, że nie było tego wiele ...

W Międzyzdrojach wiedzą swoje. Ktoś kiedyś powiedział, że nad jeziorem Wicko była wyrzutnia pocisków V-1, a więc na pewno była. Zapewne doświadczalna, ale zawsze.

- *Słyszał pan pewnie o Peenemuende. To niedaleko stąd. Na sąsiedniej wyspie. Co więc tu mogło być, jak nie wyrzutnia raket V 1 ?...*

- *Pociski V-1 nie były raketami* - próbuję sprostować wiadomości starszego już wiekiem mieszkańca Międzyzdrojów, ale nie dopuszcza mnie do głosu.

- *Ja, panie, wiem lepiej. Mieszkam tu od czterdziestego ósmego. I nasi, i Ruscy, od których tu się kiedyś roilo, mówili o raketach V-1. Dawniej, chyba jeszcze za Gomułki, przejeżdżali tu Niemcy, fotografowali i filmowali tę wyrzutnię w Wicku. Robili nawet jakieś pomiary. Sąsiad, który już nie żyje, opowiadał mi, że bezpieka ich stamtąd przegoniła.*

To prawda, że żelbetowe szczątki jakiejś konstrukcji nieco przypominają fundamenty pod wyrzutnie bezpilotowych samolotów odrzutowych V-1, zwanych też latającymi bombami, I prawdą jest również, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przyjeżdżali tu niemieccy poszukiwacze śladów hitlerowskich budowli militarnych, więc nie można wykluczyć, że któryś z gorliwych pracow-

ników ówczesnej Służby Bezpieczeństwa, licząc na awans, przegonił intruzów. Lecz właśnie badaczom z RFN zawdzięczamy odkrycie przeznaczenia tego, co pozostało na stromym zboczu wzgórza koło Międzyzdrojów, Te stojące do dziś wśród drzew i krzewów ruiny stanowiły łożysko gigantycznego działa, Działa jak te z literacko-filmowej Navarony.

*

A jednak Wicko miało swój związek z hitlerowskim ośrodkiem raketowym w Peenemuende, znajdującym się na sąsiadującej z Wolinem wyspie Uznam. Obecnie w granicach Rzeczypospolitej znajduje się tylko wschodni Skrawek tej wyspy wraz z centrum Świnoujścia. Cofnijmy się zatem pamięcią do wczesnej wiosny 1943 roku. Właśnie wówczas do okupowanej Warszawy dotarły informacje, że gdzieś koło Szczecina Niemcy przygotowują nową, wręcz. cudowną broń, Padło nawet to słowo - Wunderwaffe.

Wywiad Armii Krajowej nie zlekceważył tej informacji. Rychło okazało się, że "koło Szczecina" dotyczy nadbałtyckiej wyspy Usedom (niemiecka nazwa wyspy Uznam), gdzie właśnie w Świnoujściu przebywał wywieziony na roboty przymusowe inżynier Jan Szreder, znajomy współpracownika wywiadu AK - Bernarda Kaczmarka, noszącego konspiracyjny pseudonim "Wrzos". Kaczmarek, dysponujący legalnymi dokumentami uprawniającymi do podróżowania po terytorium III Rzeszy, dotarł do Świnoujścia, gdzie skontaktował się ze swoim znajomym, który zatrudniony był przy transporcie żywności. Szreder wyjaśnił Kaczmarkowi, że całą zachodnią część wyspy Usedom Niemcy uznali za strefę zamkniętą, objętą najściślejszą tajemnicą państwową i wojskową.

Dworzec kolejowy w dzisiejszym Świnoujściu znajduje się tylko na wschodnim brzegu Świny, a więc w tej części miasta, która leży na wyspie Wolin. Za czasów niemieckich tu rządów również zachodnia część miasta miała połączenie kolejowe i nawet dwie stacje: jedną tuż nad kanałem portowym, po której nic został nawet ślad (jej ruiny z zachowanym peronem i wiatą nad nim straszyły jeszcze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych) i drugą w pobliżu obecnej granicy polsko-niemieckiej, gdzie zachowały się zabudowania stacyjne, wykorzystywane teraz do innych celów. Podczas wojny właśnie z zachodniej części Świnoujścia żywność do zamkniętej strefy wojskowej transportowano przez Ahlbeck i Heringsdorf do Zempina.

- *Dalej* - opowiadał Szreder Kaczmarkowi - *drogę zagradzają zasieki z drutu kolczastego i tablice z napisem "Halt!", wokół których krążą wartownicy z psami.*

Wywiadowi AK udało się rozszyfrować tajemnicę zamkniętej części wyspy Usedom gdzie w ośrodku Peenemuende Niemcy przeprowadzali próby z bombami latającymi V-1 i raketami balistycznymi V-2, montowanymi w miejscowych zakładach doświadczalno-produkcyjnych.

"Cudowną bronią" interesował się sam Adolf Hitler, który na bieżąco był informowany o przebiegu prac naukowo-badawczych i doświadczeniach z V-1 i V-2. Rezultaty nie były zrazu imponujące, ale na pewno zachęcające. Fuhrer marzył zwłaszcza o "rzuceniu na kolana" Wielkiej Brytanii. Nie udało się tego dokonać podczas gigantycznej bitwy powietrznej o Anglię latem 1940 roku. Teraz bombowce Luftwaffe miały zostać zastąpione przez bomby latające V-1 i rakiety V-2. Ale Hitler nie chciał czekać na zakończenie eksperymentów z "cudowną bronią". Chciał niemal natychmiast uderzyć na Londyn, by zdusić ducha oporu Brytyjczyków.

I tu pomocny okazał się projekt pewnego inżyniera z zakładów zbrojeniowych w Saarbruecken o gigantycznej armacie wielokomorowej. I tak powstała kolejna broń odwetowa III Rzeszy nazwana oficjalnie "pompą wysokociśnieniową", a wśród żołnierzy stonogą. Lub po prostu V-3.

Zanim jednak do tego doszło, w Peenemuende nastąpiło coś, co postawiło pod dużym znakiem zapytania dalszy rozwój Wunderwaffe, a w każdym razie rozwiało marzenia Hitlera o możliwie szybkim wykorzystaniu przeciwko Wielkiej Brytanii broni odwetowej V-1 i V-2.

*

Gdy 18 sierpnia 1943 roku Hitler obudził się w swej mazurskiej kwaterze głównej, zameldowano mu, że minionej nocy bombowce alianckie obróciły w gruzy supertajny ośrodek raketowy w Peenemuende. I że nadal eksplodują tam bomby z opóźnionym zapłonem. Hitler wpadł w furję ...

Wprawdzie po zbombardowaniu Peenemuende Niemcy nie zrezygnowali z przeprowadzania doświadczeń z bombami latającymi V-1 i raketami balistycznymi V-2, to jednak nawet przed Hitlerem nie ukrywano, że ta nocna akcja bombowców Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii znacznie opóźni zastosowanie bojowe broni odwetowej. Dlatego też żwawo zabrano się za realizację innego projektu. Teoretycznie dawał on gwarancje, że możliwie szybko i przy znacznie mniejszych nakładach finansowych będzie można użyć gigantycznych dział, które z wybrzeża francuskiego zdolne będą skutecznie ostrzeliwać Londyn.

Twórcą tej nowej broni odwetowej był inżynier August Coender, zatrudniony w firmie Roechling Stahlwerk w Saarbruecken. Wykorzystując pomysł z 1880 roku francuskiego inżyniera Pierrota zaprojektował on wielokomorową armatę składającą się z około trzydziestu segmentów o długości od czterech do pięciu metrów. Każdy segment miał po dwa rozgałęzienia z obydwu stron. Były to komory prochowe, których zadaniem było nadanie wystrzeliwanemu pociskowi prędkości 1500 metrów na sekundę. Donośność działa obliczono teoretycznie na 170 tysięcy metrów. Nic, nic ma tu pomyłki. Rzeczywiście, 170 kilometrów!

Sam zaś pocisk o kalibrze 150 milimetrów i długości około trzech metrów miał zawierać około dwustu kilogramów materiału wybuchowego.

Było to dużo, a nawet bardzo dużo w porównaniu choćby z wielce skomplikowaną technicznie i bardzo kosztowną rakieta V-2, której głowica zawierała około tony materiału wybuchowego. Gdy zważy się, że projekt inżyniera Coendera przewidywał, iż każde ze zautomatyzowanych dział miało wystrzeliwać co sześć sekund taki właśnie pocisk, to w ciągu pięciu minut na Londyn spadłoby ich pięćdziesiąt o sile rażenia równej dziesięciu rakietom V-2.

Hitler był zachwycony, gdy przedstawiono mu projekt inżyniera Coendera. Nowe dział nazwał pieszczotliwie "szybką Elizką" i rozkazał, by natychmiast przystąpiono do realizacji projektu oznaczonego kryptonimem "Die Hochdruckpumpe" (pompa wysokociśnieniowa lub wysokiego ciśnienia), Rychło też w Mimoyecques w pobliżu miasta Calais w okupowanej Francji kilka tysięcy robotników przymusowych i jeńców wojennych rozpoczęło budowę zespołu pięciu baterii gigantycznych dział.

Na światłoczułych taśmach filmowych brytyjskich samolotów zwiadowczych, penetrujących z powietrza wybrzeże okupowanej Francji, pojawiły się monstrualne budowle z betonu i stali. Coś na kształt schronów. Po powiększeniu zdjęć widać było tylko drobne fragmenty jakichś instalacji rurowych. Kolejna tajemnicza broń? Czy wyrzutnie rakiet V-2? Sztabowcy brytyjscy nie zastanawiali się długo. Rozkaz był wyraźny - zniszczyć! W listopadzie 1943 roku bombowce alianckie przeprowadziły potężny nalot na instalację koło Calais. Zniszczenia nic były jednak znaczne, ponieważ armaty budowano pod osłoną płyt z betonu i stali o grubości pięciu i pół metra. Niemniej roboty trzeba było przerwać.

Schrony dla gigantycznych dział koło Calais rozpoczęto budować jeszcze w trakcie pierwszych prób z tą nową bronią. Te próby, przeprowadzone w okolicach Hillersleben, nie napawały jednak konstruktora "pompy wysokociśnieniowej" optymizmem. Pociski w kształcie strzał okazywały się niestabilne w locie, koziołkując w powietrzu. Rychło ustalono tego przyczynę. Otóż każdy pocisk wyposażono w cztery stabilizujące jego tor lotki, które miały się rozchyłać natychmiast po opuszczeniu lufy przez pocisk - strzałę. Tymczasem lotki zawodziły. Zawodziła też nietypowa przecież lufa tego wielokomorowego działa, złożona z segmentów łączonych śrubami. Spalany pod wysokim ciśnieniem materiał miotający po prostu uciekał przez minimalne nawet nieszczelności. Tym samym spadała prędkość początkowa wystrzeliwanych pocisków. Nie udało się również Niemcom idealnie równo ustawić na łożu tak długiej lufy i te minimalne odchylenia powodowały wibrację pocisków.

Niemniej nie zaprzestano prób z bronią V-3. W szybkim tempie na wzgórzu w pobliżu przystani nad jeziorem Wicko koło Międzyzdrojów (za niemieckich czasów Missdroy) wybudowano doświadczalną armatę - stonogę. Wybór tego miejsca nie był wcale przypadkowy. Na wyspie Wolin można było stosunkowo łatwo kontrolować ruch ludności i wychwycić wszystkie kręcące się tu osoby

obce. Zaś w końcu czwartego roku wojny pobliskie Międzyzdroje nie były już modną miejscowością letniskową, jak w okresie międzywojennym. Trwała bowiem wojna totalna i nikt z Niemców nie miał nawet prawa myśleć o urlopie oraz słonecznych i wodnych kąpielach...

Ze stonogi nad jeziorem Wieko oddano w sumie 25 strzałów, które przeleciawszy nad wschodnim skrajem Międzyzdrojów wpadały do wód Bałtyku gdzieś na wysokości Kamienia Pomorskiego. Rezultaty prób obserwowano z pokładów trałowców Kriegsmarine. Po pierwszych strzałach okazało się jednak, że nadal zawodzą lotki, a sam pocisk wylatując z lufy osiąga prędkość około 1100 metrów na sekundę, a więc o jedną trzecią za małą do tego, by z okolic Calais móc skutecznie ostrzeliwać Londyn.

Tymczasem mimo negatywnej opinii specjalnej komisji wojskowej, która zainteresowała się działem inżyniera Coendera i 4 maja 1944 roku wydała swój werdykt, kontynuowano zakrojone na gigantyczną skalę roboty budowlane w Mimoyecques. Nikt bowiem nie miał odwagi poinformować Hitlera, że konstruktor stonogi nie uwzględnił niektórych zasad... aerodynamiki.

Ale - o dziwo! - wkrótce po wydaniu tej opinii, podczas kolejnej serii próbnych strzelań z V-3 koło Międzyzdrojów, osiągnięto spory sukces. Wypróbowano wówczas osiem pocisków o różnej długości i ciężarze pomiędzy 78 a 127 kilogramów, wyrzucając je z Wicka na północny wschód wzdłuż pomorskich wybrzeży Bałtyku na stosunkowo znaczną odległość- Jeden pocisk-strzałę udało się nawet wyekspediować na odległość 90 kilometrów!

Cieszył się pułkownik Bortt-Scheller, dowódca specjalnej jednostki zajmującej się próbami z bronią V-3, cieszyli się jego podwładni, a Hitler, gdy 24 maja minister Albert Speer zrelacjonował mu w Berchtesgaden wyniki prób w okolicach Międzyzdrojów, informację tę przyjął z entuzjazmem, widząc w stonodze jeszcze jeden element mogący zmienić losy wojny na korzyść III Rzeszy. Nic zatem dziwnego, że 26 maja 1944 roku komunikat hitlerowskiego Urzędu Uzbrojenia (Heereswaffenamt) donosił, że próby prowadzone z V-3 zapowiadają pełne powodzenie eksperymentu z nową bronią.

Ale tymczasem dwudziesty piąty strzał oddany z działa koło Międzyzdrojów okazał się pechowy. Ekspłodowały dwie środkowe komory stonogi, która została poważnie uszkodzona i - według fragmentarycznych informacji - już nie odbudowano całej tej instalacji artyleryjskiej, demontując tylko ocalałe jej elementy.

W tym też czasie, w czerwcu 1944 roku, alianci rozpoczęli inwazję na kontynent, w szybkim tempie wyzwalaając Francję. Rychło wojska sprzymierzonych dotarły do Calais, odkrywając na wybrzeżu Kanału La Manche monstrualne budowle z betonu i stali wraz z nieznanymi im instalacjami rurowymi. Zrazu podejrzewano, iż są to instalacje do badań nad bombą atomową. Ściągnięto więc fizyków amerykańskich i francuskich, którzy autorytatywnie wykluczyli tę hipotezę. W tym mniej więcej czasie poznano prawdę o V-3. W sferach rządowych Londynu wywołała ona istną panikę. Nikt tam nie podejrzewał, że stolica Wiel-

kiej Brytanii była – teoretycznie przynajmniej - zagrożona przez broń groźniejszą od rakiet V-2.

Na szczęście dla londyńczyków, badania nad stonogą nie wyszły praktycznie z fazy doświadczeń, chociaż pod koniec 1944 roku Niemcy zastosowali w działaniach bojowych dwie stonogi o lufach skróconych do 60 metrów, ostrzeliwując z nich Antwerpię i Luksemburg, a jedno działo V-3, również o znacznie skróconej lufie, zamocowali na platformach kolejowych, ostrzeliwując z niego trzecią armię amerykańską podczas niemieckiej kontrofensywy w Ardenach.

Broń V-3, podobnie jak V-1 i V-2, nie uratowała Niemców przed klęską. Działa zastosowane w walce na froncie zachodnim zostały unicestwione wskutek eksplozji w bocznych komorach prochowych po oddaniu zaledwie kilku lub kilkunastu strzałów. A reszty dokonały bombowce alianckie, co było łatwym zadaniem, ponieważ Niemcy prowadzili z nich ogień z otwartej przestrzeni, nie mając już ani czasu, ani możliwości budowy żelbetowych schronów.

W maju 1945 roku instalacje koło Calais wysadzono w powietrze i tylko koło Międzyzdrojów pozostały ruiny betonowych łoży po doświadczalnym dziale rodem z... Navarony.

SKARB NA POBOJOWISKU

Można chyba wyobrazić sobie ten wojenny epizod z pierwszych dni marca 1945 roku. Pomorze Zachodnie, okolice miasta Wolin. Od wschodu i południa nacierają oddziały Armii Czerwonej. Wśród niemieckiej ludności cywilnej panuje panika, od kilku miesięcy podsycana doniesieniami prasowymi o gwałtach i rzeziach dokonywanych w Prusach Wschodnich przez żołnierzy radzieckich, którzy nie oszczędzają nawet dzieci. Tymczasem zarządzenia lokalnych władz hitlerowskich są dla przestraszonych cywilów niezrozumiałe. Nakazują czekać, a przecież słychać już kanonadę artyleryjską nadchodzącego frontu. A gdy wreszcie nadeszło polecenie ewakuacji, dla tysięcy ludzi, zwłaszcza kobiet, starców i dzieci, było już za późno na ucieczkę...

Spośród setek zmierzających w kierunku zachodnim na pomorskich drogach kolumn ewakuacyjnych nas interesuje tutaj tylko jedna. Ta, która około godziny 5 w poniedziałek, 5 marca 1945 roku, wyruszyła z wioski Benice (pozostańmy tu przy późniejszych nazwach polskich) w kierunku Wolina.

Było jeszcze ciemno, gdy kolumna wozów konnych z ludźmi i ich dobytkiem opuściła Benice. Słychać było przekleństwa, płacz dzieci i lamenty kobiet. Jakaś staruszka cicho się modliła. Tylko hrabia Hasso von Fleming, właściciel majątku w Benicach, zachowywał zimną krew. Od wieczora dnia poprzedniego krążył na koniu między Benicami a Kamieniem Pomorskim i Wolinem, uzyskując od lokalnych władz to pozwolenie na ewakuację, to zgodę na poruszanie się kolumny wozów w dwóch rzędach, to wreszcie zezwolenie na przejazd przez most na Dziwnie w pierwszej kolejności.

Kolumna z Benic bez przeszkód dotarła do Dobropola i stąd kierując się na Wolin zbliżała się do Darłówka. Czoło kolumny znajdowało się już w pobliżu mostu na Dziwnie, gdy pojawiły się czołgi z czerwonymi gwiazdami na wieżyczkach. Jak ustalono po wojnie, dowodzony przez kapitana Sanaczewa batalion zdobył skrzyżowanie dróg w rejonie Darłówka i posuwając się na północ ogniem dział czołgowych zaatakował kolumnę uciekinierów z Benic. To, że byli tam wyłącznie cywile, w tym dzieci, dla dzielnego kapitana Armii Czerwonej nie miało żadnego znaczenia.

Gdy pierwsze pociski artyleryjskie zaczęły eksplodować w bezpośrednim sąsiedztwie wozów, a nawet zniszczyły niektóre z nich, ludzie w panice opuścili je, kryjąc się w lesie. Nie wszyscy jednak zdążyli. Padli pierwsi zabici i ranni...

Później próbowano ustalić, w których dokładnie miejscu zatrzymała się zaatakowana przez czołgi radzieckie kolumna z Benic. Poza skonstatowaniem faktu, że zaledwie kilku wozom z transportu benickiego udało się dojechać do Wolina zanim Niemcy nie wysadzili w powietrze mostu na Dziwnie, reszta jest owiana tajemnicą. Wszystko wskazuje jednak na to, że do Wolina nie dotarła i została na wschodnim brzegu Dziwny niemal cała kolumna, w tym też wóz, na którym jechały matki z dziećmi. W momencie ataku czołgów kapitana Sana-

czewa rozpierzchli się oni po lesie. Na drodze zaś został wóz, na którym znajdowała się skrzynia najprawdopodobniej z jednym z najcenniejszych skarbów europejskiej sztuki sakralnej. Co się z nim stało?...

*

Na skarpie tuż nad brzegiem Zalewu Kamieńskiego wznosi się romańskogotycka świątynia katedralna, To jeden z najcenniejszych zabytków Pomorza Zachodniego, znany zwłaszcza melomanom z koncertów muzyki organowej. Słynne organy z XVII wieku o doskonałym brzmieniu stanowią część cennego, głównie barokowego wyposażenia wnętrza świątyni w Kamieniu Pomorskim, której początki sięgają XII wieku. W latach 1176-1544 była kościołem katedralnym katolickiej diecezji kamieńskiej, której stolicę przeniesiono tu po pożarze pobliskiego Wolina. Przez następnych 401 lat katedra kamieńska nie należała do Kościoła katolickiego, W latach 1544-1648 była bowiem siedzibą biskupów luteranckich, potem aż do 1812 roku siedzibą luteranckiej kapituły. I w końcu - aż do 1945 roku – ewangelickim kościołem parafialnym.

I chociaż ranga kamieńskiej świątyni stopniowo się obniżała, to jednak jej kolejni administratorzy dbali o to, by ich kościół zaliczał się do najpiękniejszych nie tylko na Pomorzu. I był takowym. Także najbogatszym, a to za sprawą skarbcza, który zawierał gromadzone przez wieki dzieła sztuki bizantyjskiej, romańskiej, gotyckiej i barokowej. Przechowywano tu relikwiarze, szaty liturgiczne biskupów kamieńskich, krucyfiksy, kielichy mszalne i inne naczynia liturgiczne, pastorały, obrazy. Tyle było tu cennych dzieł sztuki sakralnej, że przez kilka wieków, aż do początku dziewiętnastego stulecia, niektóre z nich na polecenie władz duchownych lub świeckich przekazywano do innych miast, między innymi Berlina.

Podczas inwentaryzacji sporządzonej w 1933 roku przez niemieckiego historyka sztuki - Waltera Borchersa doliczono się w skarbcu kamieńskim aż 29 najcenniejszych eksponatów najwyższej, światowej klasy, a także wiele innych, równie wartościowych i cennych. Ozdobą skarbcza, jego chlubą i perłą był relikwiarz świętej Korduli. Była to niewielka kasetka o owalnym kształcie, wykonana około 1000 roku przez Wikingów z Lund w Szwecji. Relikwiarz ten składał się z 22 kościanych płytek spiętych połączanymi okuciami z miedzi, W miejscach ich przecięcia znajdowały się ozdoby w postaci głów wilków i drapieżnych ptaków, zaś kościane płytki były płaskimi reliefami przedstawiającymi zwierzęta z tułowiami żmij lub z lwim tułowiem i ludzką głową, a także ptaki drapieżne i ludzkie maski.

Do innych najcenniejszych skarbów sztuki sakralnej z Kamienia Pomorskiego Walter Borchers zaliczył między innymi pastorał biskupi z XIII wieku, kadzielnicę miedzianą z około 1200 roku i pochodzący z tego samego okresu krucyfiks z ułamanym prawym ramieniem krzyża, a także prostokątną szkatułę drewnianą z około 1000 roku wykładaną płytkami z kości słoniowej.

Przez jedenaście lat aż do swej śmierci w końcu lipca 1973 roku w budynku koło katedry kamieńskiej mieszkał profesor Gwido Chmarzyński, bodaj najlepszy znawca sztuki sakralnej naszych ziem odzyskanych. Jego mogiła znajduje się na Cmentarzu Komunalnym na Junikowie w Poznaniu.

Pochodził bowiem z Wielkopolski i tu spoczęły jego doczesne szczątki, lecz serce swe zostawił właśnie na Pomorzu Zachodnim. Profesor miał to szczęście, że zbiory skarbcza kamieńskiego mógł podziwiać w całej okazałości podczas pobytu w Kamieniu w 1933 roku. I właśnie wtedy wysunął on nieco może ryzykowne porównanie. Otóż zbiory ze skarbcza kamieńskiego porównał on z przechowywanymi w skarbcu wawelskim. Jeśli nawet w tym porównaniu było nieco przesady, to i tak świadczy to wymownie o ogromnej wartości historycznej i niemożliwej wręcz do oszacowania wartości materialnej tego, co przez wieki zgromadzono w świątyni na skarpie nad Zalewem Kamieńskim.

*

Pod koniec 1944 roku, gdy - według strategów niemieckich - niebezpieczeństwo przeniesienia bezpośrednich działań wojennych na terytorium tak zwanej "starej Rzeszy" stawało się coraz bardziej realne, pod nadzorem okręgowego konserwatora zabytków ze Szczecina - doktora Gerharda Bronischa zbiory ze skarbcza kamieńskiego wywieziono do pobliskich Benic. W piwnicach pałacu hrabiego von Fleminga złożono dwie lub trzy skrzynie zawierające najcenniejsze eksponaty, w tym relikwiarz świętej Korduli, zaś w miejscowym kościele - między innymi ołtarz wielki z XV wieku i osiem obrazów olejnych bez ram.

W nocy z 4 na 5 marca 1945 roku na wóz konny załadowano w Benicach tylko jedną skrzynię spośród tych przechowywanych w pałacowych piwnicach. Przedtem jej nie otwierano, więc nie wiadomo co zawierała. Wiele wskazuje jednak na to, że właśnie relikwiarz świętej Korduli.

*

Hrabia Hasso von Fleming przeżył wojnę i po wyjeździe ze swych rodzinnych stron zamieszkał koło Hamburga. Na rok przed śmiercią (zmarł on w 1974 roku) wraz z żoną, bratem i synem przyjechał do Polski. Odwiedził - rzecz jasna - także swój dawny majątek w Benicach, Na tle pałacu stanął przed kamerą filmową, by porozmawiać o losie skarbów z katedry kamieńskiej. Hrabia opowiadał między innymi o tragicznych przeżyciach tamtego pamiętnego pierwszego marcowego poniedziałku 1945 roku, gdy kolumna ewakuacyjna, próbując przedrzeć się z Benic do Wolina została zaatakowana przez czołgi radzieckie:

- „, Gdy zbliżałem się do Troszyna, z czołgów padły strzały. Podbiegli do mnie zrozpaczeni ludzie krzycząc, że dwa nasze wozy zostały trafione pociskami. Jeden człowiek zabity, jeden ciężko ranny ...

- Czy był to wóz ze skrzynią? - zapytała przeprowadzająca ten wywiad Britta Wuttke, pochodząca z Międzyzdrojów i do 1980 roku mieszkająca w Polsce autorka głośnej powieści "Homunkulus z tryptyku", która w 1977 roku ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego,

- *Nie, to nie był ten wóz.*

- Bo nam chodzi o wóz ze skrzynią „,

- *Gdzie siał ten wóz ze skrzynią, tego nie wiem,*

- A wie pan, co się z nim siało?

- *Nie, ponieważ były już mm czółgi rosyjskie, nie mogłem jechać dalej. Muszę więc polegać na tym, co opowiadali mi inni.*

- A co mówili?

- *Opowiedzieli mi, że wóz ten został przewrócony; w takim stanie widziały go następnego dnia kobiety: Czy został najechany przez czołg, czy też wywrócił się z innego powodu, tego też nie wiem.*

- A co się stało ze skrzynią? Wie pan, czy też nie?

- *Nie wiem ...*

Fragment tej rozmowy zacytowałem za opublikowanym na łamach szczecińskiego tygodnika "Morze i Ziemia" (numery z 4-10 i 11-17 lutego 1987) artykułem "Tajemnica kamieńskich skarbów" pióra Andrzeja Androchowicza, którego dokumentalny film "Tajemnica skarbu kamieńskiego" czekał aż sześć lat na emisję w telewizji. Wyświetlono go dopiero w kwietniu 1980 roku i jak zwykle po tego typu programie telewizyjnym w okolicach Benic pojawili się...- poszukiwacze skarbów, wyposażeni w łopaty i kilofy. Ponoć intruzów przegoniła milicja.

Gdy na początku 1946 roku profesor Gwido Chmarzyński po raz drugi w życiu odwiedził Kamień Pomorski, zapytał pozostałego tu jeszcze niemieckiego kościelnego, co stało się ze skarbcem katedralnym.

- *Skarbiec został z kościoła zabrany i gdzieś zakopany. Nic więcej nie wiem -* odpowiedział kościelny.

Kłamał? Chyba nie. Wszak rzeczywiście skarbiec został z kościoła kamieńskiego wywieziony. To zaś, że przewieziono go do pobliskich Benic, kościelny mógł nie wiedzieć. Tego typu operacje otoczone były zawsze tajemnicą, a ta odbywała się przecież pod urzędowym nadzorem okręgowego konserwatora zabytków ze Szczecina. Nie ulega też wątpliwości, że o wywiezieniu skarbcza kamieńskiego byli poinformowani najwyżsi dygnitarze hitlerowskich władz prowincji pomorskiej.

Wspomniałem, że zbiory ze skarbcza kamieńskiego zapakowano do dwóch lub trzech skrzyń. O dwóch wspomina się w wykazie sporządzonym przez Paula Vieringa, konserwatora zabytków w Kamieniu Pomorskim, odnalezionym po wojnie w Instytucie Ochrony Zabytków w Schwerinie na terytorium ówczesnej NRD. Zaś o trzech złożonych w pałacowych piwnicach skrzyniach mówił przed kamerą filmową hrabia Hasso von Fleming;

- *Gdy rozpoczęła się ta nagła ucieczka w nocy, a zezwolenie otrzymaliśmy późnym wieczorem, tę ważniejszą skrzynię załadowaliśmy na jeden z wozów, na którym znajdowały się matki z dziećmi.*

- Pan wie, co było w tej skrzyni? - zapytała Britta Wuttke.

- *Ja jej nie otwierałem, ale byłem zdania, że zawiera ona relikwiarz Świętej Korduli.*

- Reszta skrzyń została tutaj?

- *Dwie skrzynie, które zabezpieczyła moja żona, pozostały w piwnicy, gdzie je złożono...*

Znaków zapytania jest więcej, Androchowiczowi udało się ustalić, że zawartość skrzyni z mitrą biskupią i innymi eksponatami ze skarbcu kamieńskiego, która - według wykazu Paula Vieringa - została złożona w pałacu hrabiego, po wojnie poniewierala się w kościele benickim. Nie można jednak wykluczyć, że po przejściu frontu niektóre dzieła sztuki o wyraźnie sakralnym charakterze, jak części ornatu biskupiego, mogły zostać przeniesione, na przykład przez mieszkańców Benic, z pałacowych piwnic do kościoła.

Dzieł sztuki sakralnej, do końca 1944 roku przechowywanych w skarbcu kamieńskim, nie odnaleziono. Nie ma też wyraźnych śladów, które mogłyby sugerować, kto i w jakim celu je zabrał. Pozostają tylko hipotezy. Te zaś można mnożyć.

*

Jeśli rzeczywiście skrzynia z relikwiarzem świętej Korduli znajdowała się na wozie jadącym w kolumnie ewakuacyjnej do Wolina, to chyba wszystko wskazuje, iż to unikatowe dzieło sztuki Wikingów zostało albo zniszczone przez czołg radziecki, który przewrócił i staranował wóz, albo też zostało zabrane przez kogoś, niekoniecznie wcale przez czerwonarmistę, który zapewne w ogóle nie zdawał sobie sprawy z ogromnej historycznej i materialnej wartości tej owalnej kasetki.

Wiktor Górecki, czołgista z batalionu kapitana Sanaczewa, wspominał po wojnie, że po obu stronach drogi od Darłówka aż do mostu na Dziwnie stały powywracane lub zniszczone wozy cywilnej ludności niemieckiej, której ucieczka przed Armią Czerwoną zakończyła się właśnie tu. Obok wozów gdzieś leżały trupy koni oraz wały się opróżnione walizki i skrzynie, wózki dziecięce, zabawki, pierzyny, garnki i tym podobne rzeczy. Na tym pobojuwisku został najprawdopodobniej wrak wozu z relikwiarzem świętej Korduli lub z jego trudnymi do zidentyfikowania szczątkami...

Co zaś stało się ze skrzyniami, które pozostały w pałacowych piwnicach? Wspominałem już, że część eksponatów ze skarbcza kamieńskiego, które miały znajdować się w tych skrzyniach, widziano po wojnie w opuszczonym i dostępnym dla wszystkich kościele benickim.

W tym miejscu trzeba wrócić pamięcią do pierwszych miesięcy powojennych na ziemiach odzyskanych, gdzie na porządku dziennym były: bandytyzm, samosady oraz kradzieże na gigantyczną skalę, które nazywano "szabrem", a złodziei "szabrownikami". Łupem zorganizowanych band padało wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość użytkową lub artystyczną. Nie można zatem wykluczyć, że część skarbów kamieńskich dostała się w ręce szabrowników, którzy najprawdopodobniej nie zdawali sobie sprawy z ich ogromnej wartości historycznej. Nie można też wykluczyć, że skarbami kamieńskimi zainteresowali się żołnierze radzieccy, albo indywidualnie na własną rękę, albo któraś ze specjalnych grup Armii Czerwonej „zaopiekowała” się nimi i do dziś spoczywają one w muzealnych piwnicach gdzieś w Rosji, na Ukrainie czy Białorusi ...

W Filmie "Tajemnica skarbu kamieńskiego", a potem również w artykule Andrzeja Androchowicza padło nazwisko Kuchta. Był to Polak z Brodnicy, który od 1940 roku jako robotnik przymusowy pracował w majątku hrabiego von Fleminga. Hrabia był z niego zadowolony. Pozwolił mu nawet ściągnąć do Benic żonę wraz z dziećmi. I tenże Kuchta wkrótce po wojnie zniknął z Benic. Gdy na początku lat siedemdziesiątych rozpoczęto poszukiwania skarbu kamieńskiego, zainteresowano się też i Kuchtą. Nie udało się jednak natrafić na jego ślad. O niczym to jeszcze nie świadczy. Mógł na przykład umrzeć. Hrabia zaś niedwuznacznie sugerował przed kamerą, iż Kuchta mógł mieć jakiś związek ze zniknięciem skarbu kamieńskiego lub przynajmniej jego drobnej części.

To jednak również tylko hipoteza. Faktem zaś jest, że gromadzone przez wieki eksponaty nie wróciły do katedralnego skarbcza i pewnie już nie wrócą.

ZAGINIONA KSIĘGA

Do wywiezienia tego unikatowego i jednocześnie bardzo cennego zabytku nie trzeba było ani ciężarówki, ani towarowego wagonu kolejowego. Wystarczyłaby teczka lub mała walizka. Także miejsca jego ewentualnego ukrycia nie trzeba było wyszukiwać w bunkrach czy podziemnych wyrobiskach kopalń. Można było go bowiem schować gdzieś na dnie kufra, w szafie lub w szufladzie biurka, nie wspominając już o sejfie jakiegoś milionera-kolekcjonera. Nic da się też wykluczyć, że ów zabytek mógł zostać zniszczony. Albo przypadkiem podczas działań wojennych albo później w jakimś zapewne bezmyślnym szale, być może z głupoty czy niewiedzy. Nie tylko dla polskiej kultury i nauki byłaby (a może już od dawna jest?) strata ogromna. Tym większa, że nie zachowała się ani jedna z trzech ręcznych kopii tego zabytku, ani też fotokopia, sporządzona ponoć na początku XX wieku dla Akademii Krakowskiej.

Po zabytku tym nie pozostał więc żaden ślad. Darujmy sobie jednak te niezbyt zresztą udane kopie i prześledźmy losy oryginału...

*

W połowie stycznia 1945 roku wojska radzieckie z dwóch frontów białoruskich rozpoczęły - w ramach gigantycznej ofensywy zimowej - operację wschodniopruską w celu rozbicia stacjonujących na silnie ufortyfikowanym terenie tej nadbałtyckiej prowincji III Rzeszy wojsk niemieckich. Jednak w Elblągu, uznanym przez władze hitlerowskie za najbezpieczniejsze miejsce w Prusach Wschodnich i przekształconym w dobrze przygotowany do obrony przyczółek - "Brueckenkopf Elbing", w mroźny wtorek, 23 stycznia, życie toczyło się jeszcze prawie normalnie. Kursowały tramwaje, w kinach wyświetlano filmy, nawet w teatrze miała się odbyć premiera operetki. I tylko tłumy cywilnych uciekinierów z innych części Prus Wschodnich przypominały elblążanom, że niedaleko od miasta toczą się działania wojenne.

Tego, co wydarzyło się w ów wtorek około godziny 18, nikt tutaj się nie spodziewał. Oto na przepętnione ulice miasta wjechały czołgi z czerwonymi gwiazdami na wieżyczkach. Traktując wszystko, co napotkały na swej drodze, tak szybko zniknęły, jak się pojawiły. W Elblągu wybuchła panika...

Czołgi te dowodzone przez kapitana G.Ł. Diaczenkę, stanowiły wysuniętą szpicę, która w pościgu za nieprzyjacielem zbyt daleko odbiła się od głównych sił radzieckich. Gdyby czołgom towarzyszyły pododdziały piechoty, jeszcze tego dnia Elbląg zostałby zdobyty, a pełne zabytków stare miasto hanzeatyckie ocalało.

Stało się jednak inaczej. Czołgi dotarły do Zalewu Wiślanego i tam - po zajęciu stanowisk obronnych - czekały na przybycie głównych sił. Tymczasem władze hitlerowskie drakońskimi metodami opanowały w mieście panikę i gdy

nazajutrz w pobliże głównego dworca kolejowego dotarły jednostki radzieckie, "Brueckenkopf Elbing" był gotowy do obrony.

Na plotach, murach budynków i wagonach tramwajowych pojawiły się napisy wzywające obrońców miasta do walki ze śmiertelnym wrogiem. Na światłoczułej kliszy utrwalił je "Leicą" Leonid Korowin, fotoreporter wojenny TASS, który obserwował poszczególne fazy walk o Elbląg. Oto na całą długość wagonu tramwajowego widać napis *"Dein Haus - deine Festung* (twój dom - twoją twierdzą). Oto jakiś budynek, a na nim kilka napisów, z których odczytać można tylko jeden - *"Unser der Sieg!"* (Nasze zwycięstwo!). W tym też czasie dowódca twierdzy elbląskiej – pułkownik Schoepffer otrzymał od Himmlera, któremu Hitler powierzył dowodzenie Grupą Armii "Wisła", rozkaz by miasto *"stanowiące pomost między wschodem a zachodem"* Rzeszy utrzymać za wszelką cenę, nic bacząc na straty ...

Walki o Elbląg trwały dwa tygodnie. Czerwonoarmiści szturmem zdobywali budynki, walczyli o ich poszczególne piętra. Obrońcy miasta: dziesięć tysięcy dobrze wyszkolonych żołnierzy i około czterech tysięcy rezerwistów z Volksturmu, licząc na odsiecz z zewnątrz, nie zamierzali składać broni. W tej sytuacji 9 lutego dowództwo radzieckie zdecydowało się na użycie ciężkiej artylerii- 105 minut trwał artyleryjski ostrzał elbląskiego Starego Miasta, gdzie w labiryncie wąskich ulic, za grubymi murami starych kościołów, kamienic i kamieniczek oraz w ich piwnicach schroniły się główne siły hitlerowskiego garnizonu. Gdy po prawie dwóch godzinach umilkły działa kalibru 152 milimetrów, gdy rozwiały się kłęby dymu, przed oczami czerwonoarmistów pojawiło się morze ruin i gruzów. Elbląska Starówka, klejnot zabytkowej architektury wśród miast Hanzy, przestała istnieć.

Ważnie w takich okolicznościach zaginął ów wspomniany na wstępie unikatowy zabytek, określany potocznie jako "Księga elbląska" lub bardziej fachowo - "Codex Neumannianus". To miano księga zawdzięcza swemu odkrywcy, elbląskiemu aptekarzowi Ferdynandowi Neumannowi, który w pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia odnalazł ten średniowieczny rękopis wśród papierów pozostawionych w zbiorach zmarłego w 1823 roku miejscowego kupca - Abrahama Gruebana, interesującego się dawnymi dziejami Elbląga. Aptekarz potrafił docenić wagę swego odkrycia.

W trzecim tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN pod hasłem "Elbląska księga" czytamy: *"najstarszy zbiór dawnego polskiego prawa zwyczajowego z XIII i XIV wieku, napisany w średniowiecznej Niemczyźnie dla potrzeb władz krzyżackich, pod których panowaniem znalazła się ludność polska: rękopis, znaleziony w XIX wieku w bibliotece miejskiej w Elblągu, składał się z czterech części (prawo lubeckie, staropolskie, polskie, słowniczek niemiecko-pruski); oryginał rękopisu (Tak zwany Codex Neumannianus) zaginął podczas drugiej wojny światowej; jego tekst był kilkakrotnie publikowany. Księga elbląska liczy 29 artykułów i zawiera przepisy ustalające organizację sądów,*

przede wszystkim zaś szczegółowe normy prawa karnego, spadkowego, a także samego procesu (obszerne dane o sadach bożych)".

Niejaki Piotr Holcwesscher na zlecenie władz krzyżackich spisał polskie prawo zwyczajowe w końcu czternastego lub na początku piętnastego stulecia, na pewno jednak jeszcze przed bitwą pod Grunwaldem 15 lipca 1410 roku, ponieważ w przeciwnym razie ów krzyżacki skryba w preambule do tej księgi nie twierdziłby z taką pewnością: *"Z Niemcami sąsadował lud, który był dla nich bardzo ciężki. Chociaż teraz jest on pokonany, jednakowoż ogłosił, że wraz ze swoim rodem Trzyma się swojego prawa, które nie podlega żadnemu państwu. Jego mędrcy ustanowili dla niego również jego prawo z dawien dawna i ogłosili, aby on do niego się zwracał. Lud ten zowie się Polakami, jego prawo podaje wam tu do wiadomości."*

Przez prawie 80 lat "Księga elbląska" przechowywana była pod sygnaturą Q 84 w budynku biblioteki miejskiej (Stadtbibliothek Elbing), znajdującej się przy Am Lustgarten 6 na obrzeżu Starówki. Jak pisze Marek Andrzejewski w książce "Elbląg w latach 1918-1939", biblioteka ta miała ponad 300-letnią historię i w jej zbiorach znajdowało się wiele cennych zabytków rękopiśmienniczych oraz inkunabułów. W 1934 roku zbiory liczyły 66 tysięcy tomów. Obok funkcji biblioteki naukowej pełniła ona również rolę oświatowej. Bez elbląskiej księżnicy trudno byłoby sobie wyobrazić działalność powstałej tu w 1926 roku Akademii Pedagogicznej, którą hitlerowcy po przejęciu władzy w Niemczech przemianowali na Wyższą Szkołę Kształcenia Nauczycieli, a także naukową aktywność elbląskich badaczy, mimo, że w opinii profesjonalistów Stadtbibliothek Elbing - na tle największych księżnic naukowych "niemieckiego wschodu", to jest Gdańska, Królewca i Wrocławia - prezentowała się dość skromnie, to jednak elblążanie byli dumni ze swej placówki bibliotecznej i zgromadzonych w niej zbiorów.

Gdy 10 lutego 1945 roku Armia Czerwona zajęła Elbląg, gmach biblioteki miejskiej był mocno uszkodzony. Uszkodzony właśnie, a nie całkowicie zniszczony. W zrujnowanym budynku rozpadły się szafy i regały, a książki walały się na podłogach sal i korytarzy. Zarówno przez uszkodzony dach, jak i przez pozabawione szyb okna do budynku dostawała się woda deszczowa. We wnętrzu hulał wiatr...

Uszkodzony budynek byłej biblioteki miejskiej podzielił w latach pięćdziesiątych los całej Starówki, której część - mimo rzeczywiście ogromnych zniszczeń - nadawała się do odbudowy, a reszta do rekonstrukcji. Tymczasem wybrano wyjście najprostsze i najgorsze zarazem, podbudowując je w dodatku polityczną, chociaż z gruntu fałszywą teorią. Niemiecką Starówkę Elbląga rozebrano na cegły dla odbudowujących się ze zniszczeń wojennych polskich miast. I tak zniknęła część miasta, świadcząca o świetności Elbląga, która przypadła na lata 1466-1772, a więc na czasy przynależności tego bogatego kiedyś grodu i dużego portu morskiego właśnie do... Rzeczypospolitej.

Na miejscu dawnej biblioteki miejskiej postawiono później blok mieszkalny, stojący do dziś w pobliżu placu Słowiańskiego.

*

Jak się rzekło. Armia Czerwona zajęła zniszczony Elbląg 10 lutego 1945 roku, ustanawiając tutaj własną, wojskową administrację wojenną. Oczywiście, nikt z oficerów radzieckich nigdy nie słyszał o "Codexie Neumannianus", podobnie zresztą, jak i nikt z Polaków, którzy w grupach operacyjnych zaczęli przybywać na ziemie odzyskane, w tym również i do Elbląga. Wprawdzie wojskowe władze radzieckie oficjalnie przekazały to miasto administracji polskiej dopiero 19 maja, to jednak już od marca przyjeżdżali tutaj Polacy, którzy wiedzieli, że po 173 latach pruskiej niewoli Elbląg wraca do Rzeczypospolitej.

Były więzień znajduącego się na Mierzei Wiślanej obozu koncentracyjnego Stutthof - Mieczysław Flipowicz, który został wysłany przez hitlerowców na roboty do stoczni Schichau w Elblągu, gdzie znajdowała się jedna z wielu filii tego obozu, po latach wspominał:

"Gdy w marcu 1945 roku powróciłem do straszliwie okaleczonego Elbląga jako członek Morskiej Grupy Operacyjnej (...), jeszcze przez wiele tygodni płonęły domy podpalane przez byłych członków Hitlerjugend. W marcu i kwietniu żołnierze niemieccy przedzierali się w nocy przez linię frontu odległą o 9-14 kilometrów od Elbląga i chowali się w piwnicach miejskich. Co rano wyłapywały ich patrole radzieckie...

Stopniowo napływali do Elbląga Polacy, ale z uwagi na zbyt ciężkie warunki, sprowadzające się do koczowania w ruinach, przenosili się przeważnie do Gdyni i Gdańska.

-Po przejęciu od władz radzieckich stoczni Schichau w Elblągu stwierdziłem, że nie ma tam ani obrabiarek, ani urządzeń nadających się do podjęcia jakiegokolwiek produkcji".

Przez nieco ponad trzy miesiące Rosjanie ogołocili miasto ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość militarną i przemysłową. Czy zainteresowali się też dobrami kultury i nauki? Na pewno. Czy jednak spenetrowali częściowo zniszczony budynek Stadtbibliothek Elbing? Nie można tego wykluczyć, chociaż gdy jesienią 1945 roku dotarła tu ekipa organizująca bibliotekę dla mającego powstać w Toruniu uniwersytetu, o czym będzie jeszcze mowa, zbiorzy, aczkolwiek mokre lub zatechłe, były jeszcze imponujące.

Gdy w Elblągu na dobre zaczęli gospodarować Polacy, nikt zbytnio nie przejmował się starymi rękopisami i drukami, które w ich oczach nie przedstawiały żadnej wartości. Zdarzało się nawet, że w jakimś - wtedy na pewno usprawiedliwionym - szale antyniemieckim niszczone wszystko, co przypominało pruskie tu rządy. A przypomnijmy, że "Księga elbląska" napisana była w średniowiecznej Niemczyźnie...

Nie ma wprawdzie żadnych dowodów na to, że właśnie Polacy zniszczyli „Codex Neumannianus”, lecz takiej ewentualności całkowicie wykluczyć nie można. Zresztą każda z wielu różnych hipotez jest w tej sprawie możliwa.

A więc oprócz hipotezy, że "Księga elbląska" została zniszczona podczas walk o miasto lub bezpośrednio po ich zakończeniu, warte rozpatrzenia są też inne. Nie można wykluczyć wywiezienia księgi przez Niemców, albo jeszcze przed zamknięciem pierścienia okrażenia wokół Elbląga, albo nawet już po zajęciu miasta przez wojska radzieckie, zwłaszcza zaś podczas wysiedlania ludności niemieckiej do stref okupacyjnych. W tych przypadkach ów zabytek być może ocalał i znajduje się w zbiorach bibliotecznych któregoś z miast RFN, będąc tam mylnie skatalogowany, na przykład pod hasłem „Prawo lubeckie”. Gdyby hipoteza ta w przyszłości się potwierdziła, odzyskanie tego zabytku dla Elbląga byłoby raczej niemożliwe.

Czy "Księgę elbląską" wywieziono do Związku Radzieckiego jako poniemiecką zdobycz wojenną? Wprawdzie oficjalne czynniki ZSRR przed laty poinformowały Polskę, iż tego rękopisu nie posiadają, a jednak wiedząc o masowych grabieżach organizowanych przez władze wojskowe i indywidualnych co sprytniejszych żołnierzy, hipotezy tej wykluczyć nie można. W tym przypadku ów zabytek może być przechowywany w jakichś magazynach bibliotecznych, również mylnie skatalogowany.

No i "Księga elbląska" może znajdować się w rękach prywatnych, zarówno w Polsce, jak i poza naszymi granicami. Jej obecny właściciel może lecz wcale nie musi zdawać sobie sprawy z ogromnej wartości zabytkowej rękopisu...

W każdym razie nikt nigdy nie przyznał się, że posiada "Codex Neumannianus".

*

Jesienią 1945 roku do zniszczonego budynku biblioteki elbląskiej dotarli członkowie ekipy organizującej bibliotekę dla mającego powstać w Toruniu uniwersytetu. Pod kierownictwem doktora Stefana Burhardta zabezpieczali dla jej potrzeb najcenniejsze zbiory, chroniąc je jednocześnie przed zniszczeniem lub kradzieżą. Pobyt w Elblągu ekipy z Torunia oburzył miejscowych radnych, reprezentujących Polską Partię Robotniczą. Z rewolucyjną zaiste czujnością ostro zaprotestowali oni przeciwko "grabieniu" poniemieckiego mienia elbląskiego.

"...Musieliśmy wrócić do Torunia, gdzie uzyskałem pismo rektora do ministra ziem odzyskanych - napisał w 1980 roku dr Stefan Burhardt do Krzysztofa Dubińskiego, autora publikacji "Sekrety KSIĘGI ELBLĄSKIEJ", zamieszczonej w 1987 roku w siedmiu odcinkach przez szczeciński tygodnik „Morze i Ziemia”. - *Pojechałem na Pragę do ministra ziem odzyskanych. Minister Gomułka był bardzo zajęty, ale skorzystałem z okazji, że przechodził przez korytarz, powiedziałem mu, że mam króciutką sprawę –przejrzał pismo rektora i powie-*

dział, że skoro Ministerstwo Oświaty zdecydowało, to i on to podpisze i zostawi u sekretarki - po kilku minutach widziałem jak wracał do swego gabinetu. Zaszedłem do sekretariatu i dostałem podpisany dokument.

Wróciłem przez Toruń do Elbląga z tymi samymi dwoma magazynierami i wznowiliśmy już bez dalszych przeszkód pracę, ale niestety podczas naszej nieobecności zniknęły suszące się starodruki i trzy skrzynie z napisem "Lisowski". W Wydziale Kultury i Oświaty (władz miejskich Elbląga - przyp. L.A.) powiedziano mi, że myśleli, iż my już nigdy nie wrócimy, więc sprzątnęli poniszczone, mokre księgi, przecież zbutwiałe książki tylko by pozarażały inne zdrowe, więc nie ma co ich żałować, a trzy skrzynie to rzeczywiście dziwna rzecz - kto i w jaki sposób je zabrał, ale my o tym nic nie wiemy.

Interwencja u prezydenta miasta też nic nie dała. Rektor obiecał opierając się na moim sprawozdaniu, wszcząć sprawę wiem tylko, że pozytywnych rezultatów me było.

Któregoś dnia przychodzimy rano do pracy, jak zwykle urzędnik magistracki przy nas zrywa pieczęć na drzwiach wejściówek do biblioteki, którą codziennie wieczorem pieczętowano wejście. Schodzimy do środka - w jednym pokoju na pierwszym piętrze okno otwarte, o parapet opiera się wierzchołek dostawionej z zewnątrz drabiny, oczywiście nie od frontu, a od tyłu, gdzie normalnie nikt nie chodził. Żadnych śladów na zewnątrz ani wewnątrz budynku, które by mogły dopomóc milicji w wykryciu sprawców, zresztą przybyły po kilku godzinach milicjant nie okazując większego zainteresowania, zapytał tylko - co zginęło? Podejrzałem, że zabrano coś z nut XX-wiecznych, bo wyglądało, że ich trochę ubyło, ale wyraźnie nie pamiętaliśmy, bo jeszcze tym pokojem nie zajmowaliśmy się. I w tym wypadku milicja sprawców nie wykryła".

We wspomnianych przez Burhardta trzech skrzyniach schowano najcenniejsze - zdaniem ekipy z Torunia - starodruki. Starodruki wprawdzie, a nie rękopisy, lecz na dobrą sprawę do skrzyń ładowano wszystko, co wydawało się stare i cenne. Czy była tam też "Księga elbląska".

Skrzyń tych nie odnaleziono. Księgi także.